



SWIATA



KOBIECE DOLE.

II.

BARONÓWNA.



Pierwszego maja deszcz,
Nieurodzaju wieszcz.



Na pierwszy maja szron
Obiecuje bujny plon.



Grzmot w maju, sprzyja urodzaju.



Gdy się maj grzmiotem odezwie
[na wschodzie,
Rok sprzyja sianu i zboże w uro-
[dzie.



Deszcz w Świętego Floryana,
Skrzynia groszem zapchana.



Pankracy, Serwacy, Bonifacy,
Żli na ogrody chłopacy.



Baronówna Ernestyna była córką bogatych rodziców, chowano ją starannie, miała bonę Francuskę, guwernantkę Angielkę, które uważały na każdy jej ruch, na każde słowo. Bona uczyła ją paryskiego akcentu i dystynkcji, guwernantka powtarzała to samo, piętnując wszystko, co było w niej samodzielnego groźnym wyrazem *shocking*. Oprócz tego Ernestyna miała nauczycieli, którzy uczyli ją chodzić, tańczyć, kłaniać się, grać i śpiewać. Ojciec i matka nie uczyli jej niczego, bo nie mieli na to czasu. Ojciec bawił się, podróżował i kochał na prawo i lewo; matka kochała się, podróżowała i bawiła.

Oboje pomyśleli o córce, gdy ta miała lat dwadzieścia; matka wprawdzie obstawała uparcie, że ma dopiero szesnaście, a ojciec, trzymając się zasady milczenia w razach wątpliwych, nie sprzeczał się z żoną, bo ostatecznie to było dla niego rzeczą obojętną. Pomyślano o córce, gdy nadszedł czas wydania jej za męża, a czy miała lat dwadzieścia, czy szesnaście, to nie zmieniało położenia.

Pod względem piękności rodzice mogli być zadowoleni z córki. Ernestyna była to wysoka brunetka, szczupła, powiewna, o bladej cerze i oczach wielkich, aksamitnych, pełnych razem żarów i marzeń. Co do strony intelektualnej i moralnej, ponieważ miała guwernantki i nauczycieli, którzy uczyli ją wszystkiego, czego uczyć należało i wzbraniali wszystkiego, czego czynić nie należało, byli także zadowoleni. To jest byli zadowoleni aż do chwili, w której panna Ernestyna objawiła im jasno i kategorycznie, że na teraz nie życzy sobie iść za męża.

Postanowienie to było rzeczą tak niesłychaną, iż nie wzięli go zrazu na seryo, ale Ernestyna w ten sposób przyjęła przedstawionych sobie kandydatów do stanu małżeńskiego, iż każdy z nich odstąpił od swego zamiaru, bo przecież panien nigdy nie zabraknie, a posag Ernestyny nie był znowu tak wielki, ażeby ją gwałtem dla niego zdobywać. Czas błędnych rycerzy przeminął — wiedzieli o tem wszyscy.

Wówczas matka, która kazała córkę wychowywać w ścisłej pobożności, pomyślała, iż Ernestyna ma powołanie zakonne, i wymieniła jej wszystkie klasztory, gdzie mogłaby się poświęcić Bogu, ale ona powołania zakonnego nie miała, i równą okazywała niechęć do klasztoru, jak do małżeństwa.

Tu już położenie stawało się trudnem, baronowa miała zaledwie lat czterdzieści — przyznawała się tylko do trzydziestu — dzięki zaś staraniom i kosmetykom, była jeszcze wcale ładna, zwłaszcza w tualecie; kochała się, podróżowała i bawiła, a wiadomo, że w podobnych okolicznościach córka dorosła jest wcale niedogodną. Mogła wprawdzie poświęcić się dla niej przez parę miesięcy, przez rok nawet, ażeby wydać ją za mąż i być już spokojną o jej przyszłość, czyli pozbyć się jej na zawsze, więcej jednak nikt od niej żądać nie miał prawa. Łatwo więc zrozumieć, iż po odmowie, jaką Ernestyna dała ostatniemu konkurentowi, baronowa wezwała do siebie guwernantkę i zapytała z niezadowoleniem, coby znaczyło postępowanie córki; guwernantka jednak objaśnić żadnych dać nie umiała, albowiem wychowanka jej zawsze we wszystkim była wzorową, nigdy nie popełniła nic takiego, coby można było nazwać *shocking*, i zachowywała się zawsze, jak na doskonale wychowaną młodą miss przystało. O powodach jej postępowania pewnego nic nie wiedziała, bo Ernestyna była małomówną, nigdy nie zwierzała się ze swoich myśli, a nawet, właściwie mówiąc, guwernantka nie miała pojęcia, iżby ona cośkolwiek myślała.

Baronowa odparta z tej strony, próbowała wybadać spowiednika córki. I to przecież okazało się daremnem; — ksiądz pełen był pobłażania dla swej penitentki, a tego, że nie przystała na małżeństwo z dwoma czy trzema przedstawionymi sobie kandydatami i że nie miała zakonnego powołania nie uważał za żadną winę; Ernestyna, według niego, służyć mogła za wzór łagodności, dobroci i t. p.

Ponieważ wszystkie te zapewnienia nie rozwiązywały trudnej kwestyi, matka postanowiła sama rozmówić się z córką. Nie było to wcale rzeczą łatwą, bo do tej pory robiła częste uwagi Ernestynie, zapytywała o różne potoczne wypadki, nigdy przecież nie rozmawiała z nią o żadnym poważniejszym przedmiocie. Kiedy więc wezwawszy ją, kazała usiąść na taborecie naprzeciwko siebie, znalazła się w pewnym kłopotcie.

Ernestyna usiadła wyprostowana, jakby winowajczyni przed sędzią. Takiej postawy nie mogła sobie życzyć matka, wskazała jej więc miejsce obok siebie. Córka posłuszna, zajęła je natychmiast, ale to nie ułatwiło rozmowy.

— Ernestyno!

— Mamo!

Po tym wstępie nastąpiła chwila ciszy.

— Ernestyno! — powtórzyła baronowa — chciałabym rozmówić się z tobą poważnie.

Tym razem Ernestyna podniosła spuszczone powieki i wlepila w matkę spokojne a palące spojrzenie. Czekwała.

Baronowa rozpoczęła długą przemowę, niezbyt może logicznie przeprowadzoną — bo logika była słabą stroną jej umysłu — lecz zawierającą sens taki: »panna dorosła za mąż iść powinna«.

Córka słuchała we wzorowem milczeniu. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, matka doszła wręcz do zapytania, dlaczego Ernestyna odrzuciła kolejną panów A. B. C, którzy przecież wszyscy byli bardzo dobrze urodzeni, dystyngowani i bogaci.

Na to pytanie płomiennie kolory oblały twarz młodej dziewczyny i zeszyły z niej nagle, oczy zapaliły się i zagasły, a ręce, które trzymała splecione na kolanach, zaplotły się silniej, niż w chwilach gwałtownego wzruszenia. Nie mówiła jednak nic.

— Więc cóż? Dlaczego? Odpowiedz mi przynajmniej! — rzekła wzburzona matka.

Wargi Ernestyny zadrgały, jak gdyby słowa więzły w gardle.

— Och! mamo!

— Mów, odpowiedz! Cóż ty zamierzasz?

— Nie wiem. Ja chciałabym...

— Czegoż chciałabyś?

Przez chwilę zdawała się zbierać myśli.

— Widzisz mamo — wyrzekła wreszcie urywanym głosem — od czasu jak zaczęłam rozglądać się koło siebie, widzę, że wszystko jest inaczej, niż być powinno.

— Inaczej?

Baronowa patrzyła na córkę, nie rozumiejąc słów jej dokładnie.

— Zupełnie inaczej. Zasady nie są zgodne z czynami.

— Zasady nie są zgodne z czynami — powtórzyła baronowa.

— Mamo, wytłómacz mi to: wszak kłamać nie należy nigdy; uczył mnie tego ksiądz kanonik i miss Simpson, a przecież... przecież miss Simpson kłamała nieraz. A gdym powiedziała Alince, która o to pytała, że gra szkaradnie, wszyscy łajali mnie... a ona rozgniewała się bardzo.

— Miała słuszość, takich rzeczy nie mówi się nigdy. I cóż ztąd?

— To, że wszystko nie jest tak, jak być powinno. Ludzie przysięgają sobie miłość, a nie kochają dlatego... przyjaźnią się, aby zdradzać... pochlebiają, aby oczerniać...

— Kto ci to powiedział?

— O, mamo, choćbym nie chciała nawet, to dostrzedz musiałam...

— Ależ tybyś tego nie zrobiła przecież?

— Ja nie chcę, żeby mnie to spotkało, przekonałam się, że nikomu wierzyć nie można i dlatego nie mogę pójść za mąż.

Mówiąc to, spojrzała z taką błyskawicą, że matka załamała ręce.

— Ależ to rzecz straszna, żeby w tak młodym wieku, stracić wszelkie złudzenia.

— Ja sędzę, że lepiej wiedzieć zawczasu, jak rzeczy idą na świecie.

— Otóż nie, sto razy nie!... Złudzenie, to szczęście życia. Miss Simpson nie mówiła mi nigdy nic podobnego o tobie.

— Miss Simpson! Ona tego nie wiedziała, po cóż próżno niepokoić ją miałam? Myślałam tylko...

— W tem nieszczęście. Na co myśleć! Panna myśleć wcale nie powinna. To jest — dodała po chwili — myśleć o takich rzeczach.

Ernestyna milczała, a matka powtarzała półgłosem:

— Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście!

(Dokończenie nastąpi).

WALERYA MARRENÉ.

UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

SCENA 8.

TERENIA, KAROLINA.

KAROLINA.

Chodź tu, Tereniu.

TERENIA.

Idę... siostrze.

KAROLINA.

Siostrze!... Nazwałaś mnie siostrą? Zrozumiałaś nareszcie, że obcą dla ciebie być nie mogę. To dobrze.

TERENIA.

Powtórzyłam bezwiednie za panem rejentem.

KAROLINA.

I żal ci tego teraz niedobra mała?

TERENIA.

Nie — nie żal, bo spostrzegłam smutek w twoich pięknych oczach.

KAROLINA.

Ty widzę i komplementa mówić umiesz.

TERENIA.

To prawda, nie komplement. (Po chwili). Pragnę być siostrą wszystkich smutnych.

KAROLINA.

Milszym ci smutek od wesołości?

TERENIA.

Nie — ale wolę smutnych. Sama częściej jestem smutną, niż wesołą.

KAROLINA.

A wczoraj wieczorem?

TERENIA.

O!

KAROLINA.

Zdawałaś się szczęśliwą. Byłaś rozbawioną... śmiałaś się...

TERENIA.

Tak.

KAROLINA.

Nawet podpiłaś sobie nieco.

TERENIA (spuszcza oczy).

Wstyd mi...

KAROLINA.

No, wstydzic się nie ma czego.

TERENIA (szepcem).

Jest... jest. Wino mnie odmieniło; byłam inną niż zwykle — gorszą.

KAROLINA.

Tak ci się tylko zdaje.

TERENIA.

Pewną jestem. Zachowanie się moje sprawiło przykrość...

KAROLINA.

Komu?

TERENIA.

Paru osobom.

KAROLINA.

Tłómaczysz się niejasno; trudno cię zrozumieć.

TERENIA.

Bo i ja wielu rzeczy na jawie... po przebudzeniu... nie rozumiem, chociaż we śnie mama rozmawia ze mną, jak bym wszystko rozumiała.

KAROLINA.

Nasza matka?

TERENIA.

Tak.

KAROLINA.

Dziś ci się śniła?

TERENIA.

Tak. Powiedziała, że wczoraj zgrzeszyłam, ale, że to rzecz ludzka, konieczna czasem; że dusza walczyć musi z pokusami ziemskimi, a otrząsając z swych skrzydeł grzech mimowolnie spełniony, mężnieje, nabiera siły, poznania, jasnowidzenia.

KAROLINA.

I to nasza matka ci mówiła?

TERENIA.

Tak.

KAROLINA (n. str.).

W głowie mi się miesza. (Głośno). Jesteś bardzo blada.

TERENIA.

Bo mnie sen zmęczył. Cierpiałam...

KAROLINA.

Cierpiałaś?

TERENIA.

Tak. — Nie za siebie.

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

Za kogo? KAROLINA.

Za wielu. TERENIA.

I za mnie? KAROLINA.

Tak. TERENIA.

KAROLINA.

Powiedz z jakiego powodu? (Terenia daje znak, że nie może). Proszę cię, powiedz!

TERENIA.

Nie mogę. Gdybym wyjawiała prawdę, jużbym więcej nie śniła. (Grzmot oddalony).

KAROLINA.

Na cóż masz śnić, jeśli cierpisz we śnie?

TERENIA.

Tak trzeba. KAROLINA.

Dla czego? TERENIA.

Bo muszę cierpieć za winy drugich. KAROLINA.

Przerażasz mnie, — bo jednak mówisz... TERENIA.

To tylko co mi wolno. KAROLINA.

Gdybyś zatem opowiedziała to czego nie wolno ci wyjawić?... TERENIA.

Sny by się rozwiały na zawsze, jak z brzaskiem dnia cienie nocy. (Z boleścią). Nie widywałabym więcej mamy, straciłabym pojęcie o wielu rzeczach świętych i tajemniczych, nie wiedziałabym co przyszłość moim najbliższym przyniesie: szczęście, czy niedolę. KAROLINA.

Czy wiesz, jaki mnie los spotka? TERENIA.

Wiem. KAROLINA.

Ale nie powiesz? TERENIA.

Nie mogę. KAROLINA.

Strasznie wydaje mi się to, czego z słów twoich się domyślam, a co przedemną zataić pragniesz. TERENIA.

Och! czemuż wyjawić mi nie wolno. Nie miałaś powodu do obawy. KAROLINA.

Jednak nie wiem, czy nie straszniejsza przyszłość cię czeka, jeśli... TERENIA (drżąc).

Nie mów, proszę. KAROLINA.

Muszę. TERENIA.

Lękam się...

KAROLINA (n. str.).

Biedne dziecko!... Jak mimoza przed dotknięciem kurczy swoje listki, tak ona wszystkie siły ducha skupia i wyteża, aby nie słyszeć, nie rozumieć...

TERENIA (marząc).

Sprzeczne jakieś myśli po głowie mi się płaczą: pół ziemskie, pół senne. Prawie śpię... a jednak czuwam. To stan przykry. Nie mów, siostró!

KAROLINA.

Muszę, bo tu idzie o twoje szczęście, o twoją przyszłość, o honor rodziny...

TERENIA.

Boże, mój Boże... tak jestem zmęczoną...

KAROLINA.

Błagam cię o chwilę cierpliwości. (Prowadzi Terenię do kanapy). Siądź tutaj — ja przy tobie. (Siadają). Drżysz... obawiasz się... nie ufasz mi... i słusznie. Byłam dla ciebie dotąd niedobłą i złośliwą...

TERENIA.

Tylko na jawie. W snach moich jesteś dobrą. W snach wszyscy dobrzy. Złych nie ma. Są tylko smutni i nieszczęśliwi. Tyś nieszczęśliwa...

KAROLINA (z łkaniem).

O bardzo! (Chwila milczenia, w ciągu której słychać płacz Karli. — Terenia obejmuje ją i całuje).

TERENIA.

Uspokój się, nie płacz. Smutek twój podzielam...

KAROLINA (ocierając oczy).

I przebaczasz?

TERENIA.

Nie mam ci co przebaczyć — Bóg jeden przebaczać może. Względem mnie nie zawiniłaś niczem. (Karolina płacze po cichu. — Chwila milczenia). Mama mi mówiła, że mężczyźni część przewinień własnych zrzucają na kobiety, ale w obec sprawiedliwości wyższej — tam w błękitach — sami za nie odpowiadają. (Chwila milczenia. — Terenia przygląda się zamyślanej hrabinie). O czym myślisz?... W załamanych oczach twoich migają błyskawice gniewu. Czy ty się może na mnie gniewasz, że nieostrożnym słowem dotknęłam świeżej rany?

KAROLINA.

Nie, nie, dziecko drogie... ale czas leci, oni tam targu dobić gotowi... chcę mówić o rzeczy ważnej, od której cały twój los zawisł, a ty przeszkadzasz, nie dajesz mi przyjść do słowa.

TERENIA.

Już słucham — już się nie boję. Głos twój mnie uspokoił.

KAROLINA (po chwilowej walce wewnętrznej).

Czy ty go kochasz?

TERENIA.

Kogo?

KAROLINA.

Tego, którego ci na męża przeznaczają — księcia.

TERENIA.

Nie.

O. KRASZEWSKA.



WOŃ WSCHODNIEGO KWIATU.

KAROLINA (z radością).

Nie?!

TERENIA.

Lubiłam go wczoraj, bo ma w oczach jakiś czar przyciągający; bo powiedziano mi, że walczył w powstaniu, że za Polskę krew przelewał, a miłość ojczyzny tam... wiesz... w błękitach, to jeden z najjaśniejszych promieni, po którym duchy mamy i ojca do mnie spływają. Przytem głos księcia, ile razy przemówił, brzmiał tak łagodnie, tak ucho pieścił!.. chociaż namawiał do złego. Ulegałam mu mimowolnie... lecz dusza opierała się jego przemocy. A już po śnie dzisiejszym... przez ciebie i za ciebie... (z wybuchem nerwowym)... och! nie lubię go, nie lubię, nie lubię! (Pochyla twarz i dłońmi ją zakrywa).

KAROLINA (obejmuje ją za szyję i całuje).

Dziecko ukochane! (Odkrywa jej twarzyczkę). Rumienisz się... Czemu?

TERENIA.

Nie wiem. (Kryje czoło na piersiach Karli. — Chwila milczenia. — Terenia podnosi głowę i ukradkiem patrzy w oczy siostrze. — Z drżeniem w głosie). Czy ty się na mnie nie gniewasz?

KAROLINA (z wybuchem, całując ręce Tereni, które ona usuwa).

Ja? ja?!... ależ ja cię teraz kocham jak matka, jak lwica, której wydarte lwiątko odniesiono do gniazda.

TERENIA.

Mnie tak potrzeba miłości!... Ubóstwiam moich, z którymi w snach się widuję; nie zawsze, nie co noc, bo różne sny bywają: ludzkie i anielskie. Kocham babcię, was obie... ciebie więcej od Madzi... chociaż bałam się niedawno jeszcze. Bardzo, bardzo lubię Petronellę... i jeszcze kogoś. Ale on, niestety, nie ufa mi, nie wierzy. Marzył dziś o samobójstwie, a mnie, co to odczułam, mało serce nie pękło z bólu i trwogi.

KAROLINA.

Kto on, kto?

TERENIA (przyciskając czoło do jej piersi).

Niedobry!... Powiem ci potem. (Powstaje). Ale chodźmy do babuni. Jeszcze jej dziś nie widziałam, nie ucałowałam rączek na dzień dobry. (Pociąga Karłę ku drzwiom).

KAROLINA.

Zaczekaj! Teraz wszystko co ciebie obchodzi i mnie obchodzi gorąco. Powiedz...

TERENIA.

Nie, nie... jeszcze nie teraz. (Prawie wesoło i grożąc palcem). Nie nalegaj... bądź grzeczna! Powiem później. (Słychać grzmot nieco bliższy). Chodźmy, chodźmy do babuni.

KAROLINA.

Zastaniemy przy niej księcia.

TERENIA (robi gest koło czoła, jakby sobie coś przypomniała).

O! nie lubię go! (Zatrzymuje Karolinę w pośrodku pokoju, nagłym ruchem bierze jej głowę w dłonie i całuje w czoło). Ale i ty go nie lubisz teraz?... prawda, że nie lubisz?... Powiedz szczerze.

KAROLINA (po chwilowej walce).

Nie lubię.

TERENIA.

I wiecznie już nie lubić będziesz?

KAROLINA (j. w.).

Wiecznie.

TERENIA.

O! jak ja cię kocham! (Całuje ją).

KAROLINA (zamyślona).

Owładnęłaś moją duszą. Nikt dotąd nie miał nademną podobnego wpływu!

TERENIA.

Chodźmy! (W drzwiach ogrodowych ukazuje się Petronella, za nią Grześ z torbą skórzaną przez ramię).

SCENA 9.

TERENIA, KAROLINA, PETRONELLA, GRZEŚ.

PETRONELLA (kłania się Karolinie).

Sługa pani hrabiny. (Do Tereni). Sarenka moja wstała nareszcie. Błada jesteś lalczko. (Schyla się, żeby pocałować jej rękę).

TERENIA (zwykłym ruchem wysuwając ręce).

Petronelko! któż widział po rękach całować!... Wstydzę się za ciebie...

PETRONELLA.

Wstydź się, wstydź; bylebym ja się nie wstydziła. (Do Karoliny). Pani hrabina wie, jak mocno przywiązana jestem do naszej małej sierotki.

KAROLINA (przyciskając do siebie Terenię).

I nie dziwię się temu.

PETRONELLA (n. str.).

Oho!

TERENIA (do Petronelli).

Żebyś wiedziała, jaka ja zmęczona!... Oczy mi się kleją...

PETRONELLA.

A ja!... ledwie na nogach się trzymam. Upał siarczysty... zajęcia co nie miara...

TERENIA.

Pomogę ci, Petronelko, jak wrócę z ogrodu.

PETRONELLA.

Jeszcze czego! żebyś ty się fatygowała!... Idźno, idź — i wszystkich tu sprowadź, bo burzy tylko co nie widać. Chmurzyska zaczęły niebo od zachodu; ciągle pogrzmiwa...

TERENIA.

Ledwie stoję. Niby czuwam, a jednak ciągle mi się zdaje, że śpię jeszcze... Chodźmy. (Przesyła ręką od ust pożegnanie Petronelli, bierze Karolinę w pół i razem wychodzą).

PETRONELLA (patrząc za Terenią).

Moje dzieciątko!... Nie ty czuwasz, ale Bóg i ja nad tobą czuwamy! (Do Grzesia). Pokaż-no coś przywiózł z poczty. (Grześ wyjmuje z torby dzienniki i list. — Petronella odbiera). Pięć gazet i list. Nic więcej?

GRZEŚ.

Nic.

PETRONELLA.

Idź do kredensu.

GRZEŚ.

Panicz razem ze mną przyjechał.

PETRONELLA.

Co za panicz?

GRZEŚ.

Ano, pan Ludwik — Poszedł się przedziać do kancelaryi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PETRONELLA.

Patrzcie go! jaki konfident!... panicz! To pan całą gębą... rozumiesz, jak prawdę kocham. Ruszaj do kredensu. (Grześ wychodzi. — Petronella przygląda się adresowi na kopercie). Do szambelana... (Kładzie gazety i list na fortepianie). Należałoby dzienniki przeczytać, bo może znajdzie co nowego, chociaż czuję, że w głowie nie lepszy porządek niż z rana. (Spostrzega wchodzących: szambelana, hrabiego i rejenta; cofa się nieco w głąb za fortepian).

ZYGMUNT SARNECKI.

TRAGIKOMEDIA KURLANDZKA Z CZASÓW SASKICH.

(R. 1727).

(Dokończenie).

XII.

Dziennik księcia de Liria. — Spotkanie z Maurycym w Gdańsku. — Nowe zabiegi grafa. — Anna Iwanowna na tronie rosyjskim. — Przyjazd hr. Potockiego. — Sylwetki Polaków na dworze rosyjskim.

W owym to właśnie czasie poseł hiszpański, książę de Liria i de Berwick, w przejeździe przez Polskę do Petersburga widział się z grafem Maurycym — po ucieczce tegoż z Mitawy — w Gdańsku, w domu zajezdnym.

Znał go de Liria jeszcze z czasów wspólnego pobytu w Paryżu i utrzymywał z nim stosunki przyjazne.

Opowiedział mu hr. Maurycy stan swoich interesów i prosił o wstawienie się za nim u dworu w St. Petersburgu.

»Przyrzekłem mu — pisze de Liria — jedynie przyjacielskie usługi, gdyż nie miałem od króla swego żadnego w tej mierze zlecenia. Prosił mnie również, abym dołożył starań, celem wydobycia od rządu rosyjskiego wielu listów miłosnych, zabranych mu przez Rosyan w Mitawie. Ponieważ prócz tego w kuferku zabranym znajdował się pamiętnik o miłostkach dworu ojca jego, Augusta króla, którego ogłoszenie mogłoby wiele hałasu obudzić, prosił przeto, abym i ów pamiętnik odzyskać się starał.

»Za przybyciem mojem do Mitawy udało mi się w rzeczy samej wyświadczyć hrabiemu tę przysługę.

»Dnia 9 listopada 1727 r. wyjechawszy z rana, stanąłem w Mitawie.

»O pół mili przed miastem wyjechał na moje spotkanie Marechal de camp Mir, imieniem komisarzy polskich w mieście bawiących.

»Siadł do mojej karety i wraz ze mną wjechał do miasta. Przybyli bezzwłocznie czterej komisarze naczelni, by mnie powitać, mianowicie: książę biskup warmiński, hr. Denhoff, generał wojsk litewskich Dunin i książę Radziwiłł.

»Zaprosili mnie na obiad, gdzie zastałem i księżną kurlandzką wdowę, córkę Iwana, starszego brata cara Piotra I.

»Generał de Lascy odwiedził mnie również i oddał mi rewizytę.

»Dnia 10 listopada miałem posłuchanie u księżnej kurlandzkiej i obiadałem u biskupa warmińskiego.

Po opowiedzeniu przebiegu wypadków przytoczonych wyżej o nieudanej elekcji Maurycego, książę de Liria podaje w notatkach ciekawe szczegóły, do-

wodzące, że były elekt nie zaniechał ani na chwilę zamiaru starania się o księstwo kurlandzkie, tym razem już za wdaniem się dworu rosyjskiego. Tylko środki działania wybrał odmienne. Wyłuszcza je książę de Liria w swoim pamiętniku.

»Rosyanie — pisze — lękają się bardzo wpływu W. księżnej Elżbiety, jej rozumu i niezwykłych zdolności.

»Chciano by ją dla tego usunąć od dworu, przez wydanie jej za żonę za grafa Maurycego. Ten ostatni nie odstąpił od swoich aspiracji, a wiedząc, że Rosyja nie zezwoli nigdy na przyłączenie Kurlandii do Polski, trzyma tu ciągle emisaryuszów by przypominać sprawę swoją i prosić w danym razie cara o pomoc.

»Interesa jego, w rzeczy samej, nie źle tu stoją. Graf stara się o rękę W. księżnej Elżbiety i ma niejakie widoki powodzenia. Toczą się już rokowania, by wezwać grafa do Moskwy, lecz sprawa ta trzymana jest w wielkiej tajemnicy, tak, że z trudnością udało mi się do niej dotrzeć.

Z Petersburga wyjechał książę de Liria na koronację wezwanej — po śmierci cara Piotra II, ostatniego z męskiej linii dynastii Romanowów (1730) — na tron rosyjski Anny Iwanowny kurlandzkiej.

Dalsze jego notatki sięgają roku 1730. Pod datą 3 lipca 1730 notuje de Liria wiadomość o przybyciu z Polski posła polskiego wojewody Potockiego i o życzliwym jego przyjęciu u dworu.

Pozorną przyczyną tego przyjazdu była chęć złożenia Imperatorowej powinszowania, w gruncie rzeczy zaś chodziło o wybadanie zamiarów dworu rosyjskiego względem Polski.

13 sierpnia 1730 wyjechał Potocki ozdobiony orderem św. Andrzeja, aby podołać na sejm do Grodna.

Posel austriacki tymczasem uknuł przeciw księciu de Liria intrygę, obawiając się jego wpływów u dworu.

Zarzucał mu, że pozostał stronnikiem hrabiego Maurycego i w ciągłej z nim jest korespondencji. Bronił się książę de Liria przeciw temu zarzutowi, że wprawdzie od lat 15 przyjaźni się z grafem, lecz w charakterze posła nie czyni nic takiego, coby się sprzeciwiało interesom dworu rosyjskiego.

Jedynym krokiem posła w sprawie hrabiego Maurycego było odzyskanie dlań od kanclerza Ostermanna listów miłosnych, zabranych mu w Mitawie.

Uzupełniają notatki księcia de Liria sylwetki wpływowych Polaków na dworze rosyjskim.

»Feldmarszałek Sapięha; prócz wielkiej odwagi,

nie odznacza się zaletami charakteru. Trzykrotnie buntował się przeciw swemu królowi i wreszcie przesiedlił się do Rosyi, gdzie korzystając z faworów syna u Imperatorowej Katarzyny, dostąpił godności feldmarszałka. Nie znał pierwszych zasad sztuki wojkowej, był mściwym i gwałtownym, upijał się codziennie i nie przebierał w środkach dojścia do upatrzonego celu.

»Innym Polakiem *ejusdem farinae* był hr. Jaguziński, jenerał jazdy i wielki koniuszy, niskiego pochodzenia. Przybywszy w młodym bardzo wieku do Rosyi, przeszedł na wiarę grecką i zyskał względy Piotra I, który go polubił.

»Nie posiadał zupełnie wiadomości fachowych, lecz był człowiekiem rozumnym, odważnym i przedsiębiorczym.

»Komu był przyjacielem, gotów był do wszelkich poświęceń, komu był wrogiem — był nim otwarcie. Przywiązawszy się do dworu, służył mu gorliwie, lecz spełniał nieustanne nadużycia. Był to jeden z najzdolniejszych ludzi w ówczesnej Rosyi.

Wreszcie, poseł nadzwyczajny polski, Le Fort, rodem z Genewy, był synowcem słynnego faworyta Piotra I.

»Był to człowiek szlachetny, nie zdolny do hańbiących postępów, bezinteresowny, gotów do poświęceń dla przyjaciół.

»Bardzo mile był widzianym u dworu. Dom prowadził otwarty i żył niezmiernie zbytkownie.

Na tem urywają się notatki księcia de Liria dotyczące Polski.

ALKAR.

Z DZISIEJSZEJ POEZJI POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

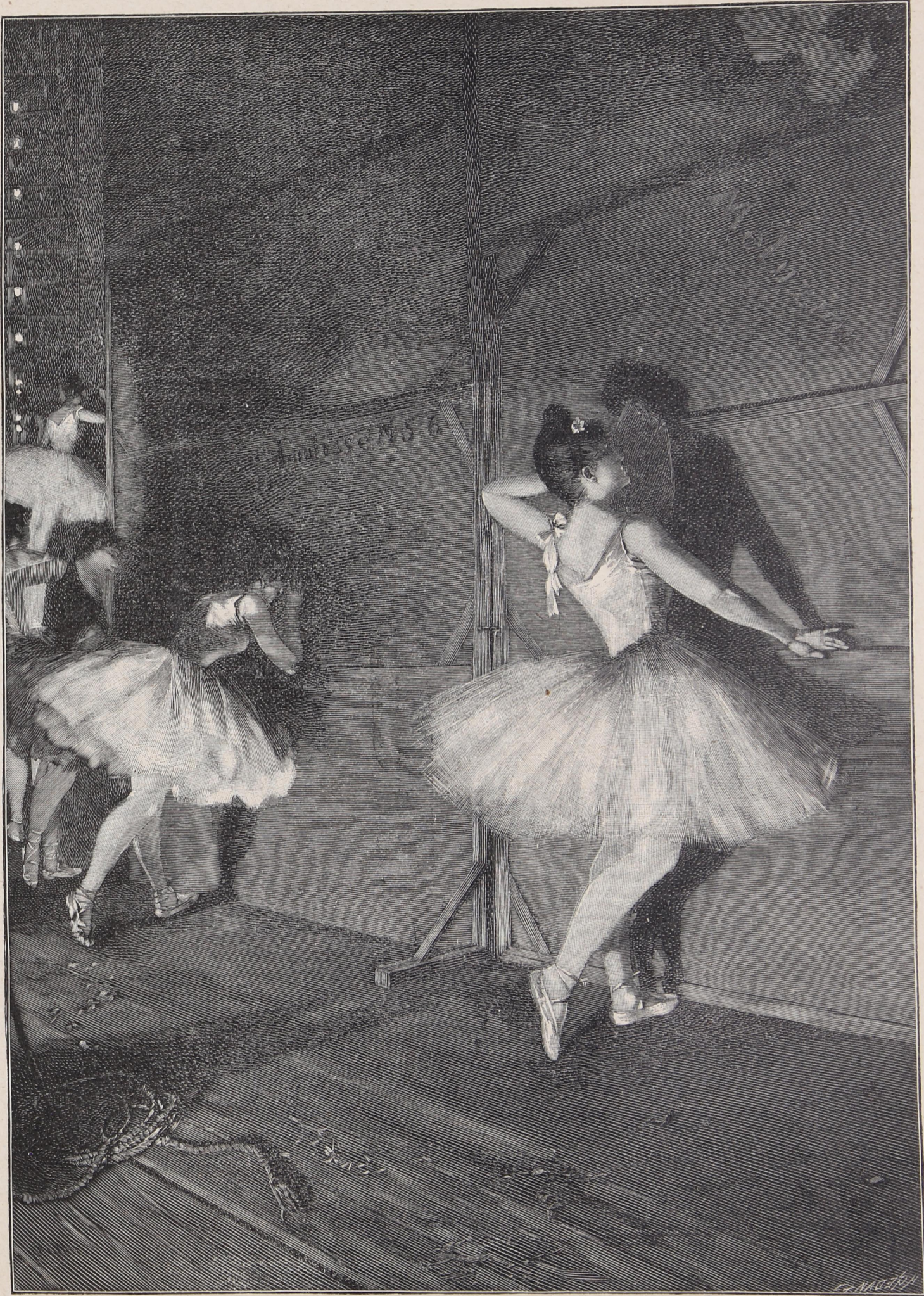
Przechodząc do sformułowania kwestyi przez Chmielowskiego: że społeczeństwo odwróciło się od poezji, bo zachodził pewien dyssonans między »nowymi hasłami« głoszonymi przez młody obóz, a poetami, którzy tych hasel nie umieli przelewać w pieśni i śpiewali anachronistycznie, o sobie i o miłości, bez względu na nowego ducha czasu — możnaby tu mieć jeszcze większe wątpliwości. Należałoby pierwiej udowodnić, czy rzeczywiście jest obowiązkiem poezji być owym »istotnym czynnikiem wytwórczości społecznej«, jak się wyraża autor »Zarysu«, rozumiejąc przez to głoszenie nowych hasel i wskazywanie nowych dróg społeczeństwu. Należałoby również przyjąć (wraz z Chmielowskim), że jeśli ona tego nie robi, to z powodu »bardzo wielkiej nieużyteczności« musi się stawać gałęzią martwą i od pnia narodowego odpadać. Tymczasem tego rodzaju premissy doprowadziłyby musiały do podobnej konsekwencji jak przed kilkudziesięciu laty, to znaczy, że powierzałoby się poezji, a więc fantazji i uczu iu, to zadanie, które przy naturalnym podziale pracy przypaść powinny narodowemu mózgowi. Wprowadzałoby się na nowo sentyment i wyobraźnię tam, gdzie potrzeba rozsądku i ścisłej obserwacji. Nie są to oczywiście bezpośrednie postulaty autora »Zarysu«, lecz tylko konsekwencje, któreby można wysnuć z jego premis, nie przemawiające jednak bynajmniej za słusnością tych twierdzeń. Dla poezji nie jest wprawdzie żadna dziedziną ducha ludzkiego zamkniętą, ale także i poezja nie jest zamkniętą w żadnej, choćby nawet w tak obszernej jak programy społeczne. Byłoby jednostronnością żądać od niej, aby się poświęciła wyłącznie popularyzowaniu »ducha czasu« pomiędzy szeroką publicznością, a przecież tego właśnie domaga się Chmielowski od ówczesnych poetów. W rzeczywistości dotyczą oni tych kwestyj nieraz: Asnyk w całym szeregu utworów zachęca do nawrócenia na tory realnej pracy (»Nowy Rok«, »Miejmy nadzieję...«, »W oczekiwaniu jutra...«); cóż dopiero mówić o całej działalności poetyckiej Szujskiego pod tym względem! I dla tego zdanie powyższe nie wydaje nam się bynajmniej uzasadnione i wolimy uważać zubożenie publiczności jako reakcję przeciw zbyt niemu rozwieleniu się uczucia i fantazji w życiu społecznym przed rokiem sześćdziesiątym, pojmując to zubożenie jako jeden

z objawów naturalnej — rzechy nawet można koniecznie — narodowej ewolucji.

Nie brak natchnienia, nie ignorancja zmienionych stosunków i hasel walki, nie przypadkowa jakaś nieobecność większych zasobów uczucia lub odczucia czasów pomiędzy następcami Henryka czy Konrada, były przyczyną tego zubożenia publiczności, tej wielkiej i cichej zmywy, co ogarnęła całe społeczeństwo. Przyczyny są głębsze, niż chwilowy brak tego ducha, co lata, gdzie chce, a więc jak odszedł, tak i przyjść łatwo może. Nerwy nasze przez tak długi czas pieśnią zapala drażnione, stały się wprawdzie, jak sobie życzył swego czasu Słowacki, strojną harfą, ale zmiękły przytem, nadużyły się i osłabły. Wrażliwość ich zmniejszyła się na długi czas w tej samej mierze, w jakiej dawniej zdumiewała swą bujnością i tkliwością uczucia. Kiedy dawniej lada tomik »Meliteli«, »Niezabudki« czy też innego poświęconego muzom noworocznika, lada zbiorek młodocianych utworów domorośłego wierszopisa stanowił wypadek dnia, przedmiot ogólnych rozmów i rozbiórów, dziś za to nawet wysokiej wartości poetyckie utwory przechodzą niepostrzeżenie, lub zyskują co najwyżej powodzenie obojętnego szacunku. Ciemna to strona korzystnej pod innemi względami zmiany pojęć.

Dwojakie są bowiem tego złe następstwa. Jedne z nich czysto literackie. Poezja była zawsze ową krynicą, co obmywała wszelki brud z codziennej mowy, niedbałych o jej czystość pokoleń. Nawet w czasach największego skażenia naszej prozy, w epoce, z której Swada Danejkowicza pochodzi, mieliśmy poezję Potockich, Morsztynów i Kochowskich. Dzisiaj, gdy zmuszeni jesteśmy karmić się przedewszystkiem chwaśnym dziennikarskiego języka, gdy faktycznymi prawodawcami w zakresie polskiej mowy są ci, co raczej do Prokrustów, męczących ją nielitościwie, niż do Solonów mogliby być porównani; gdy dzieła naukowe — duchem obcych zwrotów z natury rzeczy przesiąkają; gdy w zakresie powieści wyrabia się obyczaj pisanania rzemieślniczo, z dnia na dzień, nie pozwalający na troskliwość i staranność o formę, dzisiaj więc jakążby czarodziejską potęgą mogła być poezja, najsubtelniejsza co do wysłowienia i ta najwięcej o język dbać zmuszona gałąź literatury. I kto wie, czy nie jedną z przyczyn tego zepsucia naszej mowy w ustach

JÓZEF WODZIŃSKI.



PRZED BALETEM.

i piśmie najmłodszych pokoleń, na które aż o mury sali sejmowej obły się niedawno skargi, nie jest zaniedbanie owego »centrum polszczyzny«, owego potężnego czynnika, kształcącego, jakim jest — a raczej mogłaby być — poezya.

Dalszym smutnym skutkiem jest obniżenie estetycznego smaku. Niezawodnie ma to swoje dobre strony, że przestaliśmy lekceważyć materialną podstawę życia kosztem anielskich roztkliwiań i romantycznego bajronizmu. Leży to niewątpliwie w interesie naszego społeczeństwa, aby wzrastało więcej Guciów a mniej Gustawów. Ale Gustawowie podnosili literacki poziom narodu, sprawiając, że poeta nie potrzebował »słuchaczów próżen grać za płotem, sprzeciwiając się świerszczom«. Poezja jest może nie zawsze najzdrowszym (skoro, jak bluszcz, zieleni się najczęściej tam, gdzie ruina), ale najwspanialszym kwiatem cywilizacji; społeczeństwo, które przestaje jej głos rozumieć, jest barbarzyńskim, jakimkolwiek by zresztą było. Dłuższe trwanie tego zaniedbania poezji, jakie dziś panuje, tych stosunków, w których synowie Apolla ducha wieszczego wzięwszy, nie wzięli wagi w słowach — musi konsekwentnie doprowadzać do upadku najwspanialszej gałęzi piśmiennictwa. To co nie było przyczyną zaniedbania, musi się stawać jego skutkiem. Był pewien tragizm w tym konflikcie między poetyką a polityką, dwiema córkami jednego ojca Arystotelesa, w którym jedna musiała dążyć do zaszkodzenia drugiej, bo przekonały się, że razem iść nie mogą. Ze stanowiska politycznego może to i dobrze, żeśmy się wreszcie nałamali pod twardą konieczność prozy życia, ale ze stanowiska literatury gotowo się to okazać Pyrrhusową korzyścią.

Gdzieindziej, na zachodzie, gdzie poezja z analogicznych jak u nas przyczyn, przestała również »cieszyć serca na ziemi«, objawiły się bardzo poważne, socyalne skutki zmateryalizowania tych serc i umysłów. Wykluczenie poezji utrudniło przejście w krew i kości społecznego organizmu tej pewnej dozy polotu i idealizmu, która do podjęcia i rozwiązania najważniejszych socyalnych zadań jest niezbędną. To też do przywrócenia im należnego stanowiska dąży grono nowochrześcijańskich pisarzy, uznając (jako jeden z niewielu środków konkretnych, na który się zgodziło, jako na balsam kojący socyalne rany), podniesienie literatury z nizin sensacyjnego romansu na wyżynę pełnego godności hymnu. Chodzi tu więc o przywrócenie czynnikowi poetycznemu literatury większego znaczenia w wychowaniu społeczeństwa. To, co swego czasu uchodziło słusznie jako pierwiastek chorobliwy, ma być teraz wszczepiane jako środek osłabiający działanie trucizn socyalnych. Obszedłszy — po stu latach — cały okrąg olbrzymiego błędnego koła, zbliżają się ci pisarze (wróżące nową wiosnę żórawie Voguëgo) do stanowiska zajmowanego przez Herdera i Schillera w kwestyi estetycznego wychowania ludzkości. Dziwna igraszka losów! Nowożytnie społeczeństwo — nie przez Platona chyba marzona Rzeczpospolita — pierwsze oblekło w ciało dyalektyczne wywody dziesiątej księgi jego Politei przeciw znaczeniu, jakie poezja posiada. I uczyniwszy to, zdaje się natychmiast nabierać przekonania, że zabicie idealizmu w czynach i poezji w literaturze, stało się owym jadem, co rozłożył duchów skład. A chociaż głosy owe, domagające się cofnięcia z dotychczasowej drogi, są na razie odosobnione, to kto wie przecież, skoro ich tam z każdą chwilą więcej i coraz poważniejsze a za-

razem w dowody bogate, czy nie osiągną tego, co zamierzyły.

Z tych różnych uwag można wyciągnąć parę wniosków. Oto najprzód należałoby może, w interesie estetycznego i etycznego podnoszenia się społeczeństwa, aby (o ile to można) oddziaływać przeciw zaniedbaniu, jakiego dziś doznaje u nas żywioł poezji w literaturze. Pożądaniem by więc było najprzód uwzględnianie go większe w teatrze i wystawianie nietylko takich sztuk, które ze względu na zręczność faktury lub lekkość pomysłu mogą liczyć na powodzenie, ale obok nich również rzeczy artystycznie i poetycko wysoko stojących. Mielibyśmy nieraz wskazówki, że nie są to zalety, którychby publiczność nie umiała uznać. Dość przypomnieć jako przykład powodzenie wznowionego dramatu: »Na jedną kartę«, który nawet w opinii dzisiejszej mistrzostwem języka i artyzmem koncepcji okupił niedostatki sceniczności. Jeśli bowiem teatr zajmuje dzisiaj pierwsze miejsce w naszej literaturze, to i na odwrót: w teatrze naszym należałoby uwzględniać literaturę; mamy oczywiście pod tym słowem na myśli: rzeczy wyższej, estetycznej wartości.

Ale bodaj czy nie ważniejsze, wychowcze zadanie przypada naszej prasie. Ona to powinna informować czytelnika o wszystkich zjawiskach na polu poezji, podawać mu regularnie ów owoc wiadomości złego i dobrego, pouczając, co czytać warto, a co jest bez korzyści. Czy się u nas tak dzieje? Jeden z młodszych poetów, nad którego utworów wartością zastanawiać się nie można (bo te z nich, które są dobre, dla publiczności nie są dostępne), wystąpił niedawno z gwałtowną inwektywą przeciw »gazeciarskiemu wszechcieństwu«, zarzucając naszej prasie, że z umysłu zabija milczeniem wszelki wyższy talent poetycki, jeśli on tylko nie chce wejść w kadry istniejących koterii dziennikarskich. W inwektywach jego, których treść oparta była na zarzutach przesadnych i nie zawsze sprawiedliwych, a których forma była raczej grubiańska niż silna, leżało jednak na dnie małe ziarno gorczyczej prawdy. Dziennikarstwo nasze, warszawskie zwłaszcza, ugrupowane około kilku firm wydawniczych, niejednokrotnie pokrzywdziło już i autorów i publiczność, przez to, że o pisarzach kupiających się około innego sztandaru — a czasem innego tylko szyldu — nie donosiło publiczności albo nic, albo też w sposób tendencyjny. Nasze galicyjskie pisma mają również niejedno grzech w tym względzie do wyrzucenia sobie, niejedno *delictum omissionis*, wypływające raczej z nieumiejętności sądzenia o złem i dobrem, niż z chęci zaszkodzenia pisarzowi. Skutki zaniedbania są jednak w obu razach jednakowe: publiczność, nie mając zwróconej ze strony prasy uwagi, ignoruje ze szkodą własną i autora i dzieła. Mamy wskutek tego cały szereg utalentowanych pisarzy, znanych tylko garstce smakoszy literackich, a przez resztę publiczności nie czytanych. Nie każdy z nich bowiem chce się starać o otrzymywanie laurów z rąk reportera, a bez takich starań pozyskanie literackiej popularności jest coraz więcej utrudnionem.

Otóż to pośrednictwo pomiędzy umysłowymi producentami a konsumentami powinno uległ reformie. W szczególności zaś może by było rzeczą pożyteczną informowanie stałe i regularne czytającego ogółu o tem, co nowego na polu najwykwintniejszej całego piśmiennictwa gałęzi t. j. poezji wychodzi. Przy powieściach lub dramatach potrzeba ta nie jest tak nagląca, bo to

są rodzaje (z odmiennych przyczyn) daleko łatwiej do publiczności dochodzące. Ale ów »anielski pokarm«, jak poezję nazwano, zbyt subtelny wymaga podniebienia, aby się ogół sam z siebie w nim rozsmakowywał. Tu pośrednictwo krytyki ma dwa razy wię-

(Ciąg dalszy nastąpi).

ksze znaczenie, a więc dwa razy większe obowiązki.

Oto parę uwag, któremi chcieliśmy poprzedzić szereg bardziej szczegółowych spostrzeżeń nad ukazującymi się obecnie utworami naszych poetów.

STANISŁAW ESTREICHER.

Z TEKI MIESZCZANINA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

I. Dlaczego nauki w Polsce nie kwitnęły?

Komuż nie narzucało się to pytanie? Któż nie doświadczył tej przykrości porównywania pod tym względem własnego kraju z zagranicą. Bolesne uczucie upokorzenia objawiało się już nieraz gorzkimi słowami rzucanymi w twarz społeczeństwu przez ludzi wysokiej inteligencji, a niewątpliwego patriotyzmu, bo im bardziej ktoś rozumie społeczną doniosłość nauki, tem większej musi przy takim zestawieniu doznawać goryczy. Pewnikiem jest, że nauka wpływa niezmiernie na tok spraw publicznych, a kto się nim przejął, tego musi uderzyć jedna okoliczność z dziejów polskich, mianowicie narzuca mu się zjawisko, że niskiemu upadkowi społeczeństwa i ruinie państwa w XVIII wieku towarzyszył zupełny brak ruchu naukowego. Było do rozbiorów dość czasu, ażeby dowiedzieć się, że już dawniej istniał na zachodzie Bakon czy Kartezyusz, ale u nas dopiero podczas rozbiorów obudza się pewien ruch umysłowy, wyglądający w obec Zachodu europejskiego, jak pierwsze kroki człowieka, który na nowo uczy się chodzić, obok drugiego, który nigdy biegu nie zaniechał. Na te słabe początki dobrego było już niestety zapóźno, już one nie mogły zrównoważyć, a tem bardziej przeważać owego potężnie wybujałego złego, które tysiącnie już wydało skutki, przeważać do tego stopnia, ażeby nawet w politycznej dziedzinie skutecznie oddziaływać. Ponure wrażenie wywiera na historyku fakt, że tuż pod samą bramą Rzeczypospolitej kwitnęły nauki, boć z Królewca rozbrzmiewał na całą Europę głos Kanta, którego nawet nazwiska w Polsce nie znano, bo nie było ani jednego człowieka, który byłby zdolny czytać pisma tego rodzaju. Od Bakona do Kanta, w całym tym rozdziale historii kultury europejskiej, Polski całkiem zgoła nie ma, a równocześnie właśnie następuje upadek stopniowy państwa, aż nareszcie rozbiory. Ta równoczesność daje do myślenia, a w szeregu pytań, które się narzucają przy zagadnieniu, dlaczego Polska upadła, nie ostatnie zajmuje miejsce pytanie: dlaczego w Polsce nauki nie kwitnęły?

Czy społeczeństwo nasze nie ma zdolności do rozwoju umiejętności, czy nie posiada pewnych potrzebnych do tego przymiotów, a na odwrót posiada jakie inne, które zakwitnienie nauk czynią niemożliwym? Są tacy, którzy tak sądzą. Poważne umysły występują nieraz z twierdzeniem, że istnieją u nas pewne cechy wrodzone w charakterze narodowym, które nie pozwalają nam kierować się nauczonych, tak, że o trwałym a wielkim, w europejskim znaczeniu tego słowa, ruchu naukowym, myśleć u nas nie można. Sądzą, że pewna powierzchowność i rozstrzelanie się obok braku wytrwałości znajduje się już w naszym charakterze narodowym. Jeżeli tak jest, w takim razie nie ma na to rady, a kilka, kilkanaście

pojawiających się czasami dzieł polskich naukowych na większą skalę, uznać należy jako sporadyczne wyjątki, których napisanie i tak na nic nauce europejskiej się nie przyda, bo pisane po polsku, a cudzoziemiec nie będzie się uczył naszego języka, póki w zakresie swojej specjalności nie znajdzie u nas obfitszej literatury. Szkoda więc czasu i atłasu, szkoda tych zdolności, które marnują się niepotrzebnie i niech nasi uczeni piszą po francusku, albo po łacinie, bo wytworzenie polskiego naukowego świata, to i tak utopia. Taką jest prosta konsekwencja, jeżeli przyjmiemy, że charakter narodowy jest przyczyną złego, w ogóle, że przyczyn jego szukać trzeba w czemś, co do samej istoty społeczeństwa polskiego należą, oddzielić się od niego nie da. Tylko czy to prawda, że z natury samej naszej nie posiadamy warunków potrzebnych na stałych współpracowników europejskiej nauki? czy to prawda, że z natury naszej jesteśmy n. p. leniwcami?

Wszyscy ci, którzy cośkolwiek tłómaczą cechami charakteru narodowego, niech się najpierw zastanowią, czy cechy takie są trwałe, czy też czasowe. Zwykle przez wyrażenie »cecha narodowa« rozumie się coś stałego, ale to tylko modna doktryna i nic więcej. Choćby nam najpiękniej i przy oklaskach całej europejskiej sławy tłómaczono, że Francuz musi np. mieć zamiłowanie do wymowy, dlatego, że jest Francuzem, a Niemiec do spekulacji, dlatego, że Niemiec, Polak zaś wstręt do drukowanego, dlatego, że Polak, nie wierzymy doktrynie, którą konkretna historyczna nauka wcześniej czy później obalić musi. Żadnych, a żadnych stałych przymiotów związanych nierozdzielnie raz na zawsze z samem istnieniem narodu — niema. Przeciwnie, historia uczy, że narody zmieniać się mogą i wykazuje, że nieraz zmieniają się też do niepoznania. Nie ma żadnych specyficznie francuskich przymiotów takich, któreby tam były wspólne wszystkim pokoleniom od Klodwiga aż do Boulangera i — aż do skończenia świata. Nieprawdą jest, jakoby za Wilhelma Zdobywcy takie same były cechy społeczeństwa angielskiego, jakie dziś u nich widzimy. Jakież to wspólne przymioty posiadają dzisiejsi Turcy z Turkami Solimana? Albo cóż mają wspólnego te pokolenia porozbiorowe, które na nowo zorganizowały społeczeństwo polskie, z pijanicami, próżniakami i nieukami okresu saskiego?

Naród polski w ciągu swojej historii zmieniał kilka razy swój charakter. Kto zna historię, a jest zarazem zwolennikiem teorii cech narodowych, tak zwanych istotnych, to jest stałych i niewzruszonych, niechaj nam powie, jakież to spostrzegł wspólne rysy charakteru narodowego w Polakach XIII, XVI, XVII a XVIII wieku? Cechy narodowe mogą się

tylko do pewnego okresu odnosić. Każdy czas ma swoje cechy, a dwa sąsiednie okresy mogą mieć cechy choćby nawet wprost przeciwne. Naród może pewne przymioty zupełnie utracić, a może też nabyć jaki przymiot nowy, którego śladu na próżnobyśmy w jego przeszłości szukali. Cechy te zmienne i czasowe mogą trwać długo lub krótko. Może pewna cecha istnieć wieki, a może nie przetrwać ani jednego pokolenia. Nie szukajmy tedy przyczyny, dlaczego u nas nauki się nie rozwinęły, w jakichś rzekomych wrodzonych przymiotach narodowych, bo te niczego nie wyjaśniają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teorię wrodzonych przymiotów narodowych posunięto w ogóle stanowczo za daleko. Co innego, że Eskimos rodzi się innym, jak Hawajczyk; oni też całkiem, a całkiem inaczej życie przepędzą, innych, a zasadniczo różnych, będą doznawali wrażeń, odmienne, wręcz przeciwne okoliczności będą kształciły ich charakter. Co innego też, jeżeli w jednej części świata powstaną dwie odrębne cywilizacje. Rzecz naturalna, że dwie jednostki choćby do siebie podobne umysłem i usposobieniem, porwane przez dwa całkiem różne prądy, inaczej się rozwiną. Ale w granicach jednej i tej samej cywilizacji, w granicach jednej i tej samej rasy, przypuścić predestynację jednych do rozumu, a drugich do nieuctwa, to już za wiele. To, co wynikłoby z samego pochodzenia, z samego urodzenia, może w tem ograniczeniu tworzyć nieznaczną tylko różnicę, zbyt małą, ażeby temi, wrodzonymi cechami dała się wytłómaczyć rozbieżność kierunków pochodzenia dziejowego.

DR. FELIKS KONECZNY.

ZAMYŚLENIE.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
Z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
Wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata:
Tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
Podobna z nad mórż wzlatającej mewie,
Wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmiłsza godzina
Lecieć tą pustką cichą i przejrzystą,
Ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
Powoli w głąb się mieniąca świetlista,
Gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
I ciszy pełna, nie wiem zkad idąca,
Bo nigdzie światła nie widać krynicy — —
Przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
Blask większy, niżli promienienie słońca,
Lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
Leśnej podźwięki i wielka, niezmienna
Spokojność jezior widnych w oddaleniach — —
I w owej pustej, niezgłębionej toni
Myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
Podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

KAZIMIERZ TETMAJER.

PALL MALL GAZETTE.

EPIZOD Z DZIEJÓW DZIENNIKARSTWA ANGIELSKIEGO.

(Dokończenie).

Gwiazda błyszcząca na widnokręgu ukołysanego powodzeniem dziennikarza zaćmiła się dopiero w 1880 r. z powrotem p. Gladstona do rządów i odtąd mimo chwilowych powodzeń i pomimo niezaprzeczonej umysłowej i moralnej wartości, jaką ten publi-

cysta posiada, nigdy już w dawniejszym blasku nie powróciła. Nietylko, że z chwilą tryumfu liberalnego stronnictwa wpływ jego na sfery rządowe ustał, ale dotknął go cios niespodziewany. Wydawca, p. Smith, odstąpił wydawnictwo *Pall Mall Gazette* swemu zięciowi, p. Yates Thompson, liberałowi. Na postawione przez niego żądanie, ażeby dziennik zmienił swój kierunek i uznawał *über Nacht* czarne za białe, p. Green-



Jan Matejko. Witraż do katedry lwowskiej.

JULIUSZ KOSSAK.



PIERWSZA PRZEJAZDZKA W MAJU.

wood ze słuszną dumą odpowiada, że można sprzedać akcye dziennika, ale nie można równie łatwo sprzedać sumienia szanującego się dziennikarza i wraz z całym swym sztabem generalnym opuszcza dziennik, który był stworzył. Ażeby pokazać, jakie sympatye osobiste potrafił sobie zapewnić i w jaki sposób angielskie społeczeństwo ze swymi dziennikarzami sobie postępuje, wystarczy przytoczyć jeden fakt. Żegnając czytelników oświadczył, że ma zamiar, jak tylko znajdzie kapitał potrzebny, założyć dziennik w duchu dotychczasowego *Pall Mall Gazette*. Nazajutrz otrzymał ze strony znajomych i nieznanym sumy, których całość wynosiła nie mniej jak potężną cyfrę 104,000 funt. szt. Zbytecznym byłoby cokolwiek więcej do tego rysu dodawać, chyba to, że p. Greenwood ani grosza z tych pieniędzy nie przyjął i że dziennik *St James's Gazette*, który wkrótce potem ufundował i którym aż do ostatnich dwóch lat kierował, był osobistą jego własnością. Nie mamy tu potrzeby zajmować się tym organem, który był pierwszą odroślą *Pall Mall Gazette*. Nie odegrała ona nigdy wybitnej roli i żywot jej jest aż do chwili obecnej szarym i podrzędnym.

Pall Mall Gazette została tedy w 1880 r. jako własność p. Thompsona, organem liberalnego stronnictwa. Taka gwałtowna zmiana zachwiała była naturalnie jej materyalnemi podstawami; trzeba było zaimprovizować odrazu i administracyę i redakcyę. Fundusów nie brakło, a o utalentowane pióra w liberalnym obozie łatwo. Najznakomitszy z pisarzy tego stronnictwa jest, bez najmniejszego wątpienia, John Morley. Jeżeli po za granicami W. Brytanii ten mąż stanu, prawa ręka Gladstona, minister dla Irlandyi, jest znany dobrze, i jeżeli, nie bez podstaw, przewidują, że zostanie on z biegiem czasu *leader*'em postępowego stronnictwa, to nie sądzimy, ażeby zdawano sobie sprawę ze stanowiska, jakie zajmuje w piśmienniczym świecie angielskim. A stanowisko to jest przyczółkowe. Jako filozof, historyk, biograf, essayista, krytyk, ekonomista, John Morley napisał dzieła poważne, o trwałem znaczeniu. Nawet ci, co jego radykalizmu politycznego, jego religijnego agnostycyzmu nie podzielają, oddają hołd jego wiedzy, jego metodzie pisarskiej i jego wielostronnym talentom. Piszący, lubo szczerzy wielbiciel Johna Morley'a, mniema, że najmniej właściwem polem jego działalności jest, a przynajmniej było w owej dalekiej już od nas epoce 1880 r. wydawnictwo codziennego pisma. Jego umysł zbyt filozoficzny, zbyt abstrakcyjny, szybował w sferach zbyt podniosłych, a zbyt mało dbał o znikome sprawy zajmujące pospolitych czytelników dziennika, ażeby łatwo mógł znaleźć sposób oddziaływania na masy. Same niezaprzeczone jego zalety wytwarzały przeszkodę do pokumania się, że tak powiem z pierwszym lepszym czytelnikiem. Przez całe trzy lata, przez które zostawał u steru *Pall Mall Gazette*, nosiła ona znamię pedantycznego trochę, filozoficznego radykalizmu. Dla oznaczenia politycznej barwy dziennika, wystarczy powiedzieć, że John Morley otworzył na rozcień podwoje jego swemu przyjacielowi Józefowi Chamberlain, który wówczas był socjalistycznym radykałem — nie przewidując, że się stanie za lat kilka filarem zachowawczej koalicji i że sprawa samorządu Irlandyi w ogóle, a apoteoza Parnell'a w szczególności, nigdzie gorliwiej i skuteczniej broniona nie była jak w łamach tego dziennika.

W roku 1883 John Morley, po wstąpieniu na dobre do politycznego zawodu, nie mógł jako depu-

towany naprzód, jako członek gabinetu następnie, poświęcić się dziennikarstwu. Naczelnym redaktorem *Pall Mall Gazette* zostaje wówczas mało znany poprzednio prowincjonalny dziennikarz p. W. T. Stead, którego Morley sprowadził sobie do pomocy, z Darlingtonu. Dopóki był podredaktorem nie mógł on okazać całej oryginalności swego talentu, ale z chwilą jak stał się samowładnym kierownikiem dziennika, nadał mu cechę odrębną i fizyognomię pod wielu względami nową w dziennikarstwie angielskim.

O p. Stead pisano już wiele, a po większej części surowo. Główne zarzuty, jakie mu czyniono opierały się na podejrzeniu, że jest hipokrytą, że kampanie zawzięte, jakie prowadził przeciwko rozwiązłości obyczajów muszą osłaniać sidła stawione przez Tartuffa na żonę Orgona. Dzisiaj gdy namiętności pierwszej chwili ostygły i gdy nawet tak mało sympatycznej osobistości jego oddają sprawiedliwość, nie ma już mowy o niczem podobnem. Wiadomo, że odpokutował on więzieniem swój zapal zdemaskowania grzeszników przeciwko siódmemu przykazaniu. P. Stead, który w powierzchowności, zwyczajach etc. nie jest bynajmniej wyrafinowanym gentlemanem, przyniósł z prowincyi fanatyzm sekciarstwa religijnego. W sceptycznym Londynie uważano go jako fenomen, jako unikat. A tem bardziej ten ferwor purytański dziwił u niego, że na innych punktach nietylko szedł z biegiem czasu, ale był nawet nowatorem i to śmiałym. Można powiedzieć, że on pierwszy wprowadził do angielskiej prasy amerykański puffizm. Nic go nie powstrzymywało, ażeby ściągnąć na swój dziennik uwagę publiczności czytającej, a od Armii Zbawienia, z którą sympatyzował, nie wahał się zapożyczać ogłuszających bębnow i jaskrawych sztandarów. On to wprowadził do dziennika swego system interwiewowania i sensacyjnych sprawozdań, wtajemniczenia publiczności w kwestye prywatne, postawił anegdotę na miejscu zasady. Życie nie zawsze podniosłe, ale zawsze interesujące przedarło się do dziennika; ilustrowanie szybkie codziennego wypadku, fizyognomii na dobie będącej, przyczyniło się także do zrewolucjonizowania prasy codziennej angielskiej. Znalazł dla *Pall Mall Gazette* odrazu szerokie koło czytelników, chociaż inne aniżeli to, do którego przemawiał poważny filozof i radykalny polityk John Morley. Ale dziwić się nie można, że gdy rozpoczął tę słynną kampanię w obronie dziewcząt, białych niewolnic, sprzedawanych przez ohydne pośredniczki prostytutcy, że podejrzewano jego dobrą wiarę. Skandal był — niesłychany dotąd w Anglii. Kwestye, o których żaden przyzwoity człowiek głośno nie mówił, zostały naraz rzucone jako powszechna strawa masie. Dziennik sprzedawał się w 200.000 egzemplarzy i fortuna jego wzniosła się na niemarzone wyżyny, stara jednak uczciwość i przyzwoitość angielska nigdy mu tego *Maidlu Tribute* przebaczyć nie potrafiła. Ale p. Stead, jak nieustraszony Kato, szedł dalej czyszcąc obyczaje, stawając w obronie nieszczęśliwych, uwiedzionych kobiet. Nie można bez szacunku wspomnieć o procesie pani Langnorthy, który, dzięki jego interwencji, pozyskał dla niej sympatye i poparcie całej Anglii i zmusił ohydneho uwodziciela do złożenia uwiedzionej w ofierze milionowej fortuny. Taki postępek białym kamykiem zaznacza zawód każdego dziennikarza. Stead zaprzął się z równym ferworem do zdruzgotania jednego z filarów swego własnego stronnictwa, Sir Karola Dilke. Podburzając przeciwko niemu wszystkie uczucia staro-

angielskiej przyzwoitości, zrobił z procesu rozwodowego pani Crawford stos ofiarny, na którym spłonęła publiczna karyera Sir Karola. Jeżeli obecnie jak Fenix odradza się z popiołów, to znajduje zawsze w p. Stead nieubłaganego mściciela i nie sądzimy, ażeby ten ostatni został pobity ostatecznie.

P. Stead stał na czele *Pall Mall Gazette* przez trzy lata jako podredaktor, a przez siedm jako naczelny kierownik. Usunął się dobrowolnie z tego stanowiska w 1890 r. przechodząc do spokojniejszej sfery wydawnictwa przeglądu miesięcznego. Ale można być pewnym, że chwilowy to tylko odpoczynek i że znowu do bardziej czynnego działania powróci.

W 1890 r. przeszła tedy *Pall Mall Gazette* pod nową redakcyę. Młody, wielce wykształcony publicysta, p. E. T. Cook wziął na się te obowiązki i nie zrywając z nową metodą, jaką p. Stead wprowadził, bo jest już ona obecnie warunkiem niezbędnym do istnienia popołudniowego dziennika, umiejętnie a powolnie sterował ku ideałom Morley'a. Dziennik odegrał podczas ostatniej kampanii wyborczej wybitną rolę i można śmiało powiedzieć, że się wielce przyczynił do tryumfu, jaki sprawa liberalna odniosła w Londynie. Można sobie wyobrazić ogólne zdziwienie, jakie wywołała przed kilku miesiącami wiadomość, że nazajutrz po powrocie do władzy liberalnego gabinetu, organ, który mu się tak skutecznie przysługiwał, przechodzi w inne ręce. Wiadomość sprawdziła się i istotnie wydawca, p. Yates Thompson, sprzedał *Pall Mall Gazette* za pokaźną sumkę 50.000 f. szt. Kto był nabywcą?... Pytanie to zajmowało polityczny i dziennikarski świat do wysokiego stopnia. Wprawdzie nabywcą pozornym, traktującym z właścicielem, był rodak nasz, p. Loewenfeld, ale było widocznem, że po za nim stała jakaś finansowa i polityczna potęga. Wprawdzie p. Thompson utrzymywał, że traktował w przekonaniu, iż organ liberalny pozostanie wiernym nadal swej barwie, ale pokazało się niebawem, że tak nie było. W chwili, w której piszemy — chociaż cztery miesiące już ubiegły od sprzedaży *Pall Mall Gazette* — nie wiadomo jeszcze, kto jest jej właścicielem: jedni utrzymują, że jest nim baron M. Hirsch, a drudzy, że to amerykański milioner, p. Astor. Ale jedna rzecz pewna, że nowy właściciel powtórzył z p. Cookiem tę samą scenę, którą w 1880 r. p. Thompson odegrał z p. Greenwoodem: zażądał odeń, ażeby zmie-

nił broń na ramieniu i przeszedł odrazu do obozu koalicyi, stawiającej nieprzeblaganą opozycyę liberalnemu gabinetowi.

Zbytecznem by było dodawać, że p. E. T. Cook poszedł za przykładem Greenwooda i wraz z całym redaktorskim sztabem opuścił *Pall Mall Gazette*. Od dwóch miesięcy, dziennik ten znajduje się pod dyktką zdolnego, młodego, ale wytrawnego już publicysty, p. Cust; — naturalnie nic o jego przyszłych losach powiedzieć jeszcze nie można. Widocznie rozporządza wielkimi kapitałami, bo się wspaniale umieszcza w nowym gmachu na Charring Cross Road, lecz widocznie próbuje dotąd gruntu i jest tymczasem bezbarwnym. Znaczący polityczny widnokręgu nie przepowiadają mu powodzenia, ale prorocstwo pod tym względem jest z natury rzeczy pozbawione wszelkiej wartości. Gdyby się przytrafił nowy przewrót polityczny w niedalekiej przyszłości — nie zanoszą się nań co prawda — koalicya zachowawczo-liberalna sprowadziłyby mogła znowu wiatr pomyslny w żagle tego dziennika, tak samo, jak uczyniłyby to mogło śmiało wyzyskanie jakiegokolwiek chwilowo dominującego społecznego prądu. W razie przeciwnym *Pall Mall Gazette* będzie wieść taki sam podrzędny żywot, na jaki skazana niepowrotnie być się zdaje jej młodsza siostra, *St James's Gazette*.

A tymczasem fortuna, tradycyjnie młodym sprzyjająca, miłemi uśmiechy obdarza nowy dziennik, który się zrodził z *Pall Mall Gazette*. Nazwał się on *Westminster Gazette*, drukowany jest na papierze zielonym; nie dla tego, że to kolor nadziei, albo kolor Irlandyi, ale dla tego, że ma być dobry dla oczów i znalazł odrazu szerokie koło czytelników. Nim pałac, który sobie buduje na Thames Street będzie skończony, przedsiębiorczy wydawca, p. Jerzy Newness, wydaje go w biurach zapożyczonych u sąsiadów i kolegów.

P. Cook stara się w swym nowym organie być po prostu dalszym ciągiem tego, czem był w dawniejszym, a że posiada sztab redakcyjny pierwszorzędny, że opromienia go jeszcze w dodatku aureola męczennika — ofiary intrygi i podejścia — że przy tem stronnictwo liberalne okazuje się daleko silniejszym raz przyszedłszy do władzy, aniżeli tego opozycya się spodziewała, zatem nie da się zaprzeczyć, że debiut ten zapowiada się daleko pomyslniej, aniżeli pierwsze występy wielu jego poprzedników.

M. E. NEKANDA-TREPKA.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Razem też (Krański w roli *cicerone*) zwiedzali osobliwości wiecznego miasta. Razem byli na *forum romanum*, razem w Coloseum, razem przy grobie Tassa, razem na Kapitolu, razem w willi Mills, razem w katakumbach¹⁾, razem w kaplicy Sykstyńskiej, razem w kościele św. Piotra, razem w owych »pałacach włoskich, kędy przy obrazach Rafaela i gzymsach złożonych powój gruzów się rozplata«.

W rajskich ogrodach willi Mills²⁾, »jaśminy,

¹⁾ Z odwiedzin tych zrodziły się później sceny pomiędzy Irydyonem a Kornelią Metellą w ciemnościach katakumb rzymskich. Zob. *Irydyon*, część II i III, str. 112—118. Opis katakumb. Patrz »Listy z podróży Odyńca«, T. III.

²⁾ »... napawając się głównie wiosną i wonią kwiatów, miano-

akacye, róże, pomarańczowe drzewa, sączyły im krople zapachów do czary upojen...«

— O, jak mi dobrze było na pościeli
Granitów rzymskich, z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów¹⁾
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi²⁾
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi³⁾.

wicie w willi Mills (Niels), której szczególną zaletę i sławę stanowi niesłychana obfitość róż, zaścielających literalnie resztki gruzów pałacu Cezarów, na których i z których jest zbudowana, a zowie się od imienia właściciela swojego, Anglika«. Odyniec, »Listy z podróży«, T. III, str. 200.

¹⁾ W willi Mills właśnie.

²⁾ W umyśle poety świtał już wówczas pomysł *Irydyona*.

³⁾ Zob. *Niepoprawni* akt IV, sc. V.: »Ach, jak łatwo złączyć

Wieczorami, o ile nie szli do teatru, na operę, lub też, o ile pogodna, ciepła noc księżycowa nie zachęcała do romantycznego spaceru po ulicach, słuchali muzyki Danielewicza, który im grał na fortepianie. W ogóle bawiono się doskonale. Błogi żywot bowiem, jaki wiodło sympatyczne »grono ukraińskie«, zasadzał się na tem po prostu, że zapominając o polityce, myślano jedynie o rozrywkach, o spacerach, o teatrze, o najnowszej operze Rossiniego, o gościnnych występach pani Malibran, wówczas wschodzącej »gwiazdy«, o wycieczkach w okolice, do willi Doria Pamphili, do San Severino, do Fiumicino, do Frascati, Tusculum i Albano, o przejażdżkach powozami po Corso, o zbliżającym się karnawale i t. d. i t. d.¹⁾

Pani Joanna, dla której wszystko to oprócz zwykłego posiadało jeszcze urok nowości, zaczęła nagle doznawać dziwnych, nieznanym jej dotąd wrażeń, odznaczających się wszelkimi pozorami szczęścia i upojenia. Zdawało się jej, że się dostała »w lepsze strony jakieś, w których ludzie nie cierpią i nie popełniają błędów«, — strony, gdzie wszystko staje się jak gdyby »pieśnią ożywioną, pieśnią błogosławieństwa i wielkości, dziękczynienia i uwielbienia«. Potem, z nadejściem świąt Bożego Narodzenia, zaczęły się fety karnawałowe; po karnawale zaś, niby wspaniały finał postu, przyszła Wielkanoc²⁾, z uroczystościami wielkiego tygodnia, z procesyami, z pochodami mnichów, z całą litanią nabożeństw i ceremonij. Arystokratyczne »grono ukraińskie« nie opuściło żadnej. W wielki czwartek np. byli aż do godziny dziewiątej w kościele św. Piotra³⁾. Śpiewano *Miserere Allegri*'ego. »Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie, rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tem ogromnem sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach«; cała świątynia bowiem to »nicość cieniów«. Patrząc na tych gromnic kilka, zapalonych nad grobem Piotra, doznawali — pani Joanna i Zygmunt — złudzenia, że przeniesieni do innego świata, oglądają Boga, który kona »w każdym zakątku tego olbrzymiego gmachu...« I zdawało im się chwilami, że słyszą »szumy burzy, wśród której On ducha wyzionął«, że ogrom wieczności stał się widomy dla nich »tam, za tym ołtarzem wysokim, niknącym, jak olbrzym, w górze«. Wieczoru tego, przy dźwiękach tej pieśni, płaczącej nad Bogiem umarłym, pojęli »sercem«, co to była śmierć Chrystusa.

Tak upłynęły owe »dni jedyne i zbiegłe«, któ-

[miłość z szaleństwem! Są to wyrazy nierozłączone! Waryacya więc wraca [do tych różnych uczuć, owiniętych [girlandą kwiatów i gwiazd, i z bogactw [krainę duchów, moc pieśni natchniętych [rzucając wiatrom. Ach! gdyby godzina [tego żywota, gdy mię ciągle poił z serca, jak z czary!« i t. d. i t. d.

¹⁾ O trybie życia, jakie prowadziła kolonia polska w Rzymie, zob. »Listy z podróży« Odyńca, T. III. Podobnie jak w latach 1829 do 1830 żyli tu Mickiewicz z Odyńcem, żył obecnie Krasiński. Wycieczki w okolice, wizyty, teatr, rauty, bale, oto na czem tam schodził czas naszym poetom i ich kochankom. Że taki sposób życia, w takim kraju, wśród takiej natury i takich pamiątek »nastrajał serce do miłości«, dziwić się nie można. Nic naturalniejszego!...

²⁾ »Boże! tego roku (1839) Wielkanoc znów 30 marca, jak temu lat pięć (1834). A wy gdzie? Ona i ty, i Konstanty? Wy, trójco moja!« (Neapol d. 20 stycznia 1839 r. do Jaroszyńskiego).

³⁾ Zob. List z Rzymu z dnia 28 marca 1834 r. do Gaszyńskiego, list, w którym Krasiński po raz pierwszy i mimowoli zapewne zdradza się z uczuciem, rozpierającym mu piersi: »Codzień mniej wyrażać się umiem; nie wiem sam, co mi się stało?« Co mu się stało? Nic łatwiejszego, jak odpowiedź na to pytanie: zaczynał kochać, tylko że, jak zwykle w takich razach, z rodzącego się w nim uczucia nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy.

rych pamięci poeta poświęcił później »Irydyona« (tak samo, jak teraz już, wkrótce po poznaniu »Maryi« przypisał jej drukującego się właśnie we Wrocławiu, a jeszcze w Genewie napisanego »Agay Hana«), a podczas których, jak w poemacie Słowackiego, pomiędzy młodzieńskim siostrzeńcem, a starszą od niego trochę ciocią zaczął się prędko romans klecić¹⁾. Pokrewieństwo to, jakkolwiek dalekie, oddawało im w wielu razach nieocenione przysługi, choćby dlatego tylko, że mnóstwo rzeczy, które nie uchodziły może obcym, uchodziły krewnym. Podobnie miała się rzecz i z niemi teraz. Podlegając, jako spowinowaceni — chociaż po kądzieli — prawom o wiele mniej krepującym, mogli naprzykład z nadejściem kwietnia, skoro się zbliżał powoli termin wyjazdu, ułożyć plan wspólnej podróży powrotnej (coby obcym nie uszło nigdy) i nikt nie mógł tego poczytać pani Joannie za złe, jeżeli, zamiast puszczać się w drogę sama tylko z dziećmi i z »osobą« do dzieci, zdecydowała się część przynajmniej wojażu (nużącego i nudnego wojażu dyliżanssem pocztowym) odbyć w towarzystwie siostrzeńca swego, oraz dwóch jego przyjaciół: Danielewicza i Jaroszyńskiego, z których ostatni, jak wiadomo, również był jej powinowatym²⁾.

Rozkoszna to musiała być podróż! Krasiński — w jednym z listów do Gaszyńskiego — nazywa ją »najpiękniejszą«³⁾. I nie dziw! Serce bowiem biło mu w piersiach, »jak kopyta koni«, w powietrzu zaś — dla niego przynajmniej — »wszędzie rozlany był szal miłości, nadziei, zachwycenia«, tak, że nie spostrzegł się nawet, kiedy przyszło do wyznania, do namiętnego *io t'amo*, które, rzucone przezeń, w chwili oszołomienia szczęściem, echem czarownem obilo się o drżące usta kochanki. Odtąd siostrzeńca zastąpił sentymentalny Romeo, a miejsce cioci zajęła rozmarzona, melancholijna Julja.

¹⁾ Dedykacja umieszczona na czele pierwszego (z r. 1836) wydania *Irydyona* — a opuszczona z woli autora (Zob. Listy do Gaszyńskiego str. 256), we wszystkich następnych — brzmi, jak następuje:

Poświęcone
Maryi
na pamiątkę dni
jedynych i zbiegłych.

Tak, głos znajomy wróci do niej po latach wielu.

Dante.

Agay Han wyszedł we Wrocławiu u Korna, w roku 1833, w październiku prawdopodobnie. Dnia 21 Novembra (listopada 1833), pisze Krasiński z Rzymu do K. Gaszyńskiego: »Jeśli wpadnie Ci w ręce *Agay Han*, drukowany we Wrocławiu u Korna, niedawno, to myśl o mnie«. Ponieważ *Agay Han* już jest »poświęcony Maryi« (tej samej co *Nieboska* i *Irydyon*) wnosić więc należy, że poznanie między panią Bobrową a Krasińskim, nastąpiło zaraz na początku pobytu wieszca w Rzymie i że Krasiński w ostatniej chwili do drukującego się już *Agay Hana* kazał tę dedykację dopisać. Wszystko to jest możebne i prawdopodobne (w miłości zwłaszcza), a jednak... jest w tej Danii coś zgniętego.

²⁾ Oprócz dzieci i guwernantki (musiała być guwernantka) była z panią Bobrową zdaje się również i jej siostra cioteczna, Grocholska, która jej zwykle w podróżach towarzyszyła. Z listów Słowackiego do matki wiemy, że w r. 1831, przyjechały razem do Drezna (Grocholska i Bobrowa). Z listów Krasińskiego dowiemy się z czasem, że były razem w Ischl, co nawet nie bardzo było pocie na rękę. Z listów Odyńca wreszcie (T. III, str. 110) dowiadujemy się, że pani Grocholska z Podola, P(oniato)wska z domu, bawiła w Rzymie już w r. 1829. (Możebnem jest, że za jej namową pani Bobrowa udała się do Rzymu). Nawiasem mówiąc wyraża się o niej Odyńca, jako o osobie bardzo pięknej, ale za to mniej sympatycznej. (Zob. Listy, 110—111). Nielepsze świadectwo wydaje też o niej Krasiński, może dlatego, że nie szczędziła mu morałów »w imię cnoty«.

³⁾ »Teraz najpiękniejszą podróż zrobiłem przez Florencję, Wenecję, Mních. Wenecya, to kochanka moja wśród miast wszystkich (dlatego *Niedokończony poemat* ma za tło Wenecję), w niej przez ośm dni prawdziwie byłem szczęśliwy«, pisze Krasiński do Gaszyńskiego dnia 10 lipca 1834 z Kissingen przy Würzburgu.

Pierwszem miastem, w którym, po wyjeździe z Rzymu, zatrzymali się na dni kilka¹⁾, była »miła, rozkoszna Florencyja«, która o tej porze zwłaszcza w maju, odurzająca zapachem kwiatów, w oślepiających słońca skąpana blaskach, ze swojemi willami w zieleni ogrodów, podobną jest do Dantejskiego raju, szczególnie, kiedy się na nią, jak oni, patrzy przez pryzmat miłości. Albowiem »nie masz na tym planecie kolorytu, równego temu, jaki nadaje złudzenie kochania. To Tycyanada i Rafaelada na płótnie żywota«. Nie mniejsze wrażenie, bo w tychże samych, co Florencyja oglądana warunkach, zrobiła na nich później Wenecya, którą Krasiński nazywa swoją »kochanką wśród miast wszystkich«, w Wenecyi bowiem »przez ośm dni prawdziwie był szczęśliwy«. Szczęścia zaś tego nie miał prawdopodobnie do zawdzięczenia Jaroszyńskiemu lub Danielewiczowi, lecz tej, na której widział skupione wszystkie promienie poezyi: czy, kiedy jechali gondolą; czy, kiedy karmili gołębie na placu św. Marka; czy, kiedy »ubierali się w purpurę wieczorów, w księżycę nocy, w błękity i muśliny pian morskich«; czy, kiedy jej opowiadał o Byronie i hrabinie Teresie Guiccioli, którzy niedawno temu, tak samo, jak oni teraz, otoczeni »wszystką rozkoszą ży-

¹⁾ Zob. krótki (17 wierszy wszystkiego) nerwowo pisany list do Gaszyńskiego z Florencyi 19 maja 1834, list zaczynający się od słów: -Zmieniłem zamiary (można być pewnym, że do zmiany ich przyczyniła się miłość), już nie jadę na Genewę, ale na Wenecję i pierwszego czerwca będę w MÜNICH, tam napisz do mnie. Trzy tygodnie temu (d. 28 marca 1834) pisał Krasiński z Rzymu do Gaszyńskiego: »Za dziesięć dni ztąd jadę, pisz mi do Genewy na 12 maja, do MÜNICH na pierwsze dni czerwca«.

cia« i niemniej zakochani w sobie, błądzili po tych ulicach wązkich, pod arkadami *palazzo ducale* lub »po mieliznach Lido«¹⁾. I zdawało im się chwilami, gdy używali przejażdżki po malowniczym *Canale Grande*, że w plusku fal, opłukujących burt łodzi, słyszą coś, jakby głos ludzki, melancholijny i cichy, a belkoczący wciąż: »Wszak te wstęgi z wód jasnych²⁾, te z mostów obręcze, te gondole szparkie, jak strzały, czarne, jak trumny, rozkoszne, jak pośmiertne zbawienie; wszak te błękity, te gwiazdy żrenicujące po nich, ten księżyc, taki pałacy mnie, jak słońca wzrok«: wszak to wszystko w miłości ma swój początek, »miłością jest przed wiekami i na wieki«. A cały ten świat dlatego »taki precudny«, bo Bóg, zanim go stworzył, już się »w niestworzonym zakochał«.

Tak rozumował dzisiaj autor »Nieboskiej komedyi«. Uganiając się dotychczas jak hrabia Henryk, za niepochwytnymi tylko, wymarzonemi »dziewicami« ulepionymi z mgły, teraz dopiero, w Wenecyi, otworzyły mu się oczy i pojął³⁾, że »są rozkosze i jest poezya materyalna«, i że chcąc w życiu tem realnie znaleźć szczęście, nie trzeba w »chmurach« przebywać, ale na ziemię zstąpić i »po ludzku kochać«, tak samo, »jak chcąc dobrze pisać, trzeba żyć wprzód«.

¹⁾ Zob. Listy do Sołtana i Gaszyńskiego, pisane z Wenecyi w r. 1838.

²⁾ *Niedokończony poemat* str. 166.

³⁾ Zob. List z Kissingen, 10 lipca 1834, do Gaszyńskiego, list, w którym najlepiej uwydatnia się metamorfoza, zaszła w przekonaniach (artystycznych) Krasińskiego pod wpływem miłości. Por. następnie *Nieboska komedia* str. 237—239, 243—245.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FERDYNAND HÖSICK.

Z »POEZJI« JULIUSZA ZEYERA.

I.

SERCE PIKANGA.

TAKIJA.

Każ, królu, aby zaprzestano rzucać
Wience różane, bukiety z piwonii
Przed twym cedrowym pałacem. Do okien
Już sięga z kwiatów mur. Czy lud ten pragnie
Odurzającą wonią nas uśmiercić?

MANDARYN HUANG (klęcząc w progu).

O królu, pozwól, by lud miłość swoją
Śmiał ci okazać —

TAKIJA.

»Miłość swoją« mówisz?

A więc on kocha, kocha ten lud dobry?
On króla kocha? jakto, czyż nie zdeptał
Ten król wolności jego?

KRÓL CZAN-WANG.

Milcz, Takijo!

TAKIJA.

Czemu mam milczeć? O, buntu się nie bój!
Przecież cię wiernie kocha ten lud dobry.
Sam to słyszałeś! Cóż ten lud obchodzi,
Że go ojcowie twoi mordowali,
Że go z początku w krwi własnej dusili,
A potem w nędzy wtrącili go błoto,
Że dziś ze wżgardą twa noga go kopie?

On sypie róże, gdy tutaj zawitasz,
Pali kadzidła i kłania się kornie.
O mandarynie powtórz nam raz jeszcze
Wieść wruszającą o miłości ludu.

MANDARYN HUANG.

Jam głowa miasta, miasto tak powiada:
»Znam jedno szczęście: twą świętą obecność!
Nie było ciebie — niebo kryły chmury.
Lecz się rozwiały. Jak tarcz opalowa
Miesiąca wschodzisz, a blask twój jest szczęściem!«

KRÓL CZAN-WANG.

Pragnąłbym, aby twoje miasto całe
Twarz miało jedną, aby noga moja
Tej twarzy wtedy ot tak dotknąć mogła! (Uderza go nogą)

MANDARYN HUANG.

O najpiękniejszy dniu mego żywota!
(Kłania się przed Takiją i królem i odchodzi).

TAKIJA.

O nędzny, nędzny, przedemną się chyli,
Przedemną, która śmierci warta-m, kłątwy
Za tę sromotę, żem twoją kochanką!

CZAN-WANG.

Zbyt śmiało igrasz. Zważaj bardziej, radzę,
Na swoje słowa.

TAKIJA.

Groźba? We mnie ona
 Śmiech tylko budzi! Śmierć? Cóż to straszego?
 Spokojny, długi sen, bez marzeń groźnych,
 Bez cierpień, jakich ten żywot nasz pełen.
 A wielkość twoja — cóż to? W twarz jej patrzę
 I widzę jasno, że tylko pełzanie
 Tworzy ją, podle otoczenia twego.
 Nieraz pytałam siebie z podziwieniem,
 Co mię do ciebie wiąże, czemu dłoń ma
 Nie zdusi we śnie tyrana, lub w puhar
 Jadu nie wleje —

CZAN-WANG.

Takijo, lwa drażnisz!

TAKIJA.

O, schowaj sztylet, nie zgrzytaj zębami!
 Ja nie otruję cię i nie zaduszę.
 Bez ciebie, któż by w prochu deptał ludzi?
 Jesteś potworem, lecz wolę już ciebie,
 Niż tych, co podle klękają przed tobą.

CZAN-WANG.

Piękna-ś Takijo, i dla tej piękności
 Twą ci piekielną przebaczam nienawiść.
 Tyś nienawiścią pijana, szalejesz
 Z tej nienawiści — i przez nią też zginiesz.
 Bez nienawiści nie byłabyś piękna,
 Jak nawałnica bez wichru i gromów.

TAKIJA.

A jednak jabym umiała tak kochać,
 Kochać głęboko, być tkliwą, serdeczną!

CZAN-WANG.

Kochać? I kogóż to, lwiczko namiętna?

TAKIJA.

To najpiękniejsze stworzenie, jakiego
 Niema w twym państwie — prawego człowieka!

CZAN-WANG.

A jakież człowiek — w oczach twoich — prawy?

TAKIJA.

Naprzód — odważny, dzielny i otwarty,
 A tak odważny, jako ten, o którym
 Sen miałam dzisiaj... Naraz mi się zdało,
 Że przez kraj jakiś nieznany przechodzę.
 Pustkowie było, smerekowe lasy
 Z obu stron drogi czerniały ponuro
 I głucho jakoś szumiały, posepnie,
 Bo żaden strumyk nie szemrał w ich cieniu
 I żaden ptak się nie ozwał w głębi.
 Nad niemi stało słońce groźne, krwawe,
 Niepromieniste, palące jak ogień,
 Jako smok syty ich życia i soków.
 Wtem z pod ciemnego puszczy sklepienia wyszedł
 Mąż, olbrzym wzrostem. W rękę trzymał wielki
 Łuk, a na plecach miał kołczan strzał pełny.
 »Szkodzisz nam!« krzyknął potężnie ku słońcu,
 Łuk napiął, w górę wyleciała strzała,
 I słońce nagle zadrgnęło, jak ptak ów,
 Któremu pocisk przeszyje wnętrzności,
 I umierając padło gdzieś za hory,
 A krwi potoki zboczyły świat cały...

CZAN-WANG.

Czemu zamilkłaś i zbladłaś tak nagle?
 Jeszcze nie koniec twego snu, mów dalej!

TAKIJA.

Upadłam do nóg mścicielowi lasów.
 Coś we mnie błysło, jako ranna zorza,
 Za rękę wzięłam go — on mnie otrząsał,
 Jak się robactwo otrząsa plugawę,
 A z ocz mu nagle strzelił druzgoczący,
 Groźny blask wżgardy! O królu, posłuchaj!
 Biada, jeżeli żyje w świecie człowiek,
 Co mógłby na mnie spojrzeć takim wzrokiem!
 Brodziłam długo we krwi, w łez potokach,
 Nie czując żadnych wyrzutów sumienia,
 Świat mi się zdawał takim niewolniczym,
 Gnuśnym i nędznym, że gniesć go i niszczyć
 Za obowiązek miałam i zasługę.
 Lecz gdyby znalazł się człowiek, o królu,
 Któryby dumnie wznosił ku niebu czoło...
 Wtedy przestałabym mścić się za podłość,
 Co rozpościera wokół rzady, wtedy —
 Nie! dość! nie zdołam skończyć myśli, królu —

CZAN-WANG.

Dumnie wzniesć czoło — przy mnie! O Takijo!
 Sama myśl o tem wściekłość we mnie budzi.

GŁOSY (z ulicy).

Przed sąd gostawić, albo śmierć mu, śmierć mu!

SILNIEJSZE GŁOSY.

Niech zginie nędznie! Śmierć, śmierć, śmierć bluźniercy!

CZAN-WANG.

Krzyk na ulicy? Co znaczy ta wrzawa?

NACZELNIK STRAŻY.

Jak to wyjawić przed twym majestatem?
 Trudno dać wiarę tak potwornej wieści.
 Język mi słupem staje —

TAKIJA.

Król chce wiedzieć.

NACZELNIK STRAŻY.

Mąż przed pałacem przechodził zuchwały;
 Przed bronzowymi wrotami nie schylił
 Wyniosłej głowy. On to jeden w całym
 Mieście kwiatami domu nie ozdobił
 Przy uroczystym wjeździe twym, o panie.
 Lud wierny chciał już rozszarpać bluźniercę.

CZAN-WANG.

Chcę go sam widzieć, wprowadzić go tutaj.

TAKIJA.

Czemu nie każesz wieść go zaraz na śmierć?
 Tak umrze z trwogi widząc twe oblicze.
 (Wprowadzają Pikanga).

CZAN-WANG.

Kto jesteś?

PIKANG.

Człowiek.

CZAN-WANG.

To trochę za mało.

PIKANG.

Tylko w twych oczach. Można-ż być czemś więcej?

CZAN-WANG.

A ja?

PIKANG.

Zapytaj czynów swych, a nie mnie.

CZAN-WANG.

Ty nie drżysz? Czyliż nie jesteś w mej mocy,
Więc w mocy wyższej?

PIKANG.

I ty nie drżysz, będąc

W mocy najwyższej.

CZAN-WANG.

Która zwie się?

PIKANG.

Śmiercią.

TAKIJA.

Ty milczysz, królu. Mąż ten prawdę mówi.

CZAN-WANG.

Czemu-ś wieńcami domu nie obwiesił
Na znak radości?

PIKANG.

Gdy mamy się cieszyć,
Musimy przecie wiedzieć też, dla czego?
Pytałem tłumu — a tłum wpadł we wściekłość.
Gdy licha sława przez ulice jedzie,
Najczęściej zapał wita ją niezmierny,
A skoro za nią przyjdzie myśl głęboka,
Napewno znajdzie zawsze puste place
I, jak żebraczka, próżno pukać będzie
Do drzwi zamkniętych.

CZAN-WANG.

Przecież sława moja
Nie jest zbyt wielką. Czyż-em nie potomek
Starego rodu? czyliż nie słyszałeś,
Że, gdyśmy przyszli do władzy w tym kraju,
Deszcz szczerozłoty padał tydzień cały?

PIKANG.

Tak powiadają — i tak zapisano,
Ile wszak prawdy w tem, któż wiedzieć może?
Ale, że płynie krew od lat dwudziestu,
Jak dzierzysz berło, każdy wie napewno.

CZAN-WANG.

Zuchwalcze!

PIKANG.

To cię potępia najbardziej,
Że ci się prawda zuchwalstwem wydaje!

CZAN-WANG.

Wiedźcie go na śmierć!

TAKIJA.

O, wstrzymaj się, królu!
On najwierniejszym będzie sługą twoim.
Posłuchaj, mężu, co-c powie Takija.

PIKANG.

Piękna-ś, lecz jakąś pięknnością fatalną.
Z marmurowego oblicza śmierć wieje,
A w czarnem oku twem płonie zepsucie.

TAKIJA.

Odważny jesteś, podziwiam cię za to.
Słuchaj: król-srogi wspaniałym być umie.
Bądź przyjacielem mu, a sam to poznasz.

A jaki hojny? Spojrz w około siebie:
Tych pereł skrzynie odebrał narodom,
Zamieszkującym nadmorskie wybrzeża;
Te wazy, pełne dyamentów, rubinów,
Są hołdem książąt; te stosy jedwabi
I purpurowych materyj — to zdobycz
Z miast zwyciężonych. A wszystkie bogactwa
Te król za jeden darował mi uśmiech.
Czegóż druhowi nie dałby z rozkoszą?

PIKANG.

Muszka wleciała mi do ust. Gdzie tutaj
Wypluć ją? Wkoło widzę tylko złoto,
Szlachetny kruszec. Najpodlejszem miejscem
Będzie tu chyba oblicze tej dziewczki.

TAKIJA (padając na kolana).

O, ja cię kocham!

CZAN-WANG.

Kobieto bezwstydna!

TAKIJA.

Przeklęta raczej, żem twoją kochanką!

CZAN-WANG.

Będę mścicielem twym. Czy myślisz może,
Iż mu przebaczę?

TAKIJA.

Ty, ty, ty, żebraku,

Ty — mu przebaczyć?

CZAN-WANG.

No, dosyć już tego.
Słuchaj, szaleńcze! Widzę, żeś z tych jeden,
Co się tak chętnie mianują mędrkami.
Zapewne kochasz swój lud?

PIKANG.

Tyś powiedział.

CZAN-WANG.

Lud, co przed chwilą już miał cię rozszarpać?

PIKANG.

I ślepą nawet kochać trzeba matkę.
Nie takim kocham go, jakim jest teraz,
Gdy pełza w prochu, zbywszy się godności;
Ja widzę, jakim on będzie — i jakim
Był, zanim wyście stracili go w błoto!

CZAN-WANG.

Zaiste, dobre masz serce! Chcę widzieć,
Czem ono różne od serca człowieka,
Który mniej mądrym jest, zacnym i dobrym.
Niech kat go weźmie i serce dymiące
Wyjawszy poda na złotej tu misie.
Cóż? czy rad jesteś? ty milczysz? — Takijo,
A ty, czyś rada?

TAKIJA.

Nie! nie! Stójcie! stójcie!

CZAN-WANG.

Właśnie dla tego, żeś »nie« powiedziała,
Powtarzam jeszcze raz pierwszy swój wyrok.
Wziąć go! (Wyprowadzają Pikanga).

TAKIJA.

Jak cicho na śmierć straszną idzie!

CZAN-WANG.

Cóż? ty nie płaczesz? nie prosisz o łaskę?

TAKIJA.

Jabym płakała, gdybyś się zlitował,
A on twą łaskę przyjąć chciał. — Już krzyczą...
(Biegnie do okna).

O wy, tygrysy! Jak wam oczy błyszczą!
A on was kocha. — A mnie?... Jaka szkoda!

CZAN-WANG (podchodzi też do okna).

Przygotowania długie! — Słyszę jęki.

TAKIJA.

Kobiety płaczą. O, chciałabym każdą
Łzę błogosławić, ale cóż, przekleństwem
Zdałoby im się me błogosławieństwo.
Jak cicho teraz! O, gdzie oczy zwrócić?
Nie mogę! Próżno, próżno się wysilam!
Teraz kat rozdarł mu szaty na piersiach.
Teraz się zbliża z nożem — stój, stój, kacie!
Tutaj, w to łono — krew — pożar — płomienie. — (Pada).

CZAN-WANG.

Już mu zanurzył nóż w piersi głęboko. —

GŁOS Z ULICY.

O nieba, cudo! Serce bursztynowe
W piersi mu biło, woń dziwnej słodyczy
Wionęła z rany, a kwiaty padają.
Gdzie krew by kapać winna.

TAKIJA (podnosząc się).

Tyś zgubiony!

Lud widzi cudo, my padniemy ofiarą.
Gdy ten lud-dziecię ma bożyszcze nowe,
Przeżyte bóstwa wnet w proch walić będzie.
(Odstępuje z królem od okna).

NACZELNIK STRAŻY.

Królu, uciekaj! Lud tłumem tu pędzi!

CZAN-WANG.

Masz za wieść! (Przebija go).

TAKIJA.

Druha zabiłeś wiernego?

CZAN-WANG.

On kłamał, kłamał!

TAKIJA (przy oknie).

On prawdę ci głosił.

Oto przed trupem tłumy całe klęczą
I błogosławią, kogo przeklinały.
Straż twoja rzuca już broń i ucieka.
Już po nas!

CZAN-WANG.

Czemu? cóż to znowu znaczy?

TAKIJA.

To znaczy, że się pod nami zapada
Ziemia... że ludzkość nie jest jednak błotem,
Po którym deptać by można bezkarnie.
Ciężko grzeszyliśmy — to nasza kara.

CZAN-WANG.

Tak nie mówiłaś jeszcze nigdy!

TAKIJA.

On mnie
Nauczył! — Słyszysz? Mściciele u bram już!

CZAN-WANG.

Gdzie moja zbroja?

TAKIJA.

Chcesz bronić się?

CZAN-WANG.

Czyliż

Mam się im oddać na urągowisko?
Nie; będę walczył, jak mężom przystało!

TAKIJA.

Zabij mnie wprzód, błagam!

CZAN-WANG.

Nie, Takijo!

Ty prosz o życie, może się zmiłują.

TAKIJA.

Nie, oni zdepczą mnie, jako robaka.
Tak umrzeć nie chcę. O, on mi przywrócił
Na twarz rumieniec. Chcę umrzeć z godnością.
(Zaciąga zasuwę).

Tu wstąpmy na te bogactwa olbrzymie,
(Rzuca palącą się lampę na materę)

To będzie stos nasz pogrzebowy. Patrzaj,
Jakie płomienie strzeliły z purpury!

To morze ognia ciągnie mnie do siebie,
Hałas się zbliża, o, pójdźmy już! (Rzuca się z królem na stos).

GŁOSY.

Śmierć im!

(Dobijanie się do drzwi).

CZAN-WANG.

Tak ginąc w blaskach, jestem jako słońce!

TAKIJA.

Śmierć jest, zaiste, piękniejsza od życia.
Przekleńte życie... Ach, dym ten mnie dusi...
On mi w twarz plunął... a ja, ja go Kocham...

CZAN-WANG.

Obłąd cię chwyta... o, jakaś ty błada!
O, żar, żar, piekło... co za deszcz cudowny...
Czyżby padało złoto, jako wówczas,
Gdy na tron wstąpił dziad mojego dziada?

TAKIJA.

To nie deszcz złoty... to iskry padają...
O, już we włosach świecą jak świetlaki —
Ha, tyś już niemy! Już dym cię udusił...
Zsiniałeś... hańba ci, wstyd... ty umierasz
Przedemną... Zgroza! zgroza!... z sinym trupem
W tem morzu ognia... sama... o, ten płomień
W pierś mą przenika... jako blask ów, który
Z jego źrenicy strzelił... gdy mną wzgardził...

(Płomienie biją aż do stropu. Drzwi ustępują naciskowi. Tłum wpada do sali).

LUD.

Tam, tam oboje! Nawpół już zwęgleni?
Ugaście pożar... Wyrzucicie psom ciała!
Niech będzie pamięć ich wiecznie przeklęta!

Przełożył z czeskiego MIRIAM.

OSTATNI ROMANTYK.

(Ciąg dalszy).

K. Ujejski nie jest poetą szerokiego i dalekiego widnokregu, natężenie jego poetyckiego natchnienia jest bardzo nierówne i krótkotrwałe. Nie jest to słońce o ciepłych, łagodnych, równych zawsze promieniach, jak Mickiewicz, lecz raczej połysek błyskawicy, migotliwy, oślepiający, ale chwilowy; słońce, oświetlając jednostajnie i równo, pozwala nam wpatrzeć się w obraz, ocenić go wszechstronnie, sprawiedliwie, bo jesteśmy w możności widzieć i obserwować wszystkie szczegóły obrazu; błyskawica odsłania nam także obraz, oświetla go w całej grozie anormalnego wzburzenia, ale oświetla przez chwilę tylko. Chwytny główne kontury główne rysy, resztę pozostawić musimy własnej domyślności i fantazyi. Taki błyskawiczny jest charakter natchnienia i twórczości K. Ujejskiego i takie wywołuje efekta. Krótkotrwałości natchnienia przypisać należy to, że poeta — lubo miewał genialne pomysły do stworzenia wielkiej artystycznej całości, — nigdy jej nie wykonał. Dlatego też pozostawił nam albo urywki (»Ustęp z powieści Sybirskiej«, »Podróż przerwana«, »Konfederat«, scena z dramatu: »Ostatni Buczaczy«) lub takie miniatury arcydzieła, jak »Maraton«, »Pług i szabla«, »Początek Samsona«.

Być bardzo może, że przyczyniła się do tego nie mało trudność tworzenia. Osobom blisko go znającym mówił: »Kiedy tworzę, na każdym moim włosku występuje kropla potu«. W istocie; ślady powolnego tworzenia pozostały wybitnie wyciśnięte na jego utworach. Mickiewicz napisał »Pana Tadeusza« w kilkanaście miesięcy, Słowacki swoim dramatom po kilka tygodni poświęcał, a K. Ujejski utwór, zawierający nie więcej nad 150 wierszy (*Fan Chrzcziciel* w »Melodyach bibl.«) objął w pięcioletni okres (1845—1850). Tej może okoliczności należy przypisać nadzwyczajną nierówność poetyckiego natężenia i artystycznej wartości w utworach K. Ujejskiego. Obok arcydzieł jaśniejących pierwszorzędnymi pięknosciami, jak »Melodye bibl.«, »Skargi Jeremiego«, »Maraton« i w. i. znajdujemy utwór niedający się z poprzednimi porównać, jak »Ustęp z powieści sybirskiej«, i jeszcze słabszy »Po latach ośmnastu« — w którym forma zdaje się niekiedy niemal groteskową. W jednym miejscu n. p. powiada: »Gdy jęknę z bólu, to chrząknij« (II 137, II 141, 143), co osłabia zupełnie wrażenie dramatyczności. Głęboki i giętki liryzm poety nie nadawał się do odtwarzania spokojnych obrazów ilekroć oko w oko postawić wypadało naprzeciwko siebie Polaków i Moskali. Kapitan Rykow

u Mickiewicza wyszedł piękną, charakterystyczną, pełną typowości postacią; z Moskala w »Po latach ośmnastu« poeta zrobił karykaturę pełną przesady. Nieznajomość społeczeństwa rosyjskiego i jego charakteru narodowego nadaje postaciom stworzonym przez niego pewną cechę pospolitości; to co poeta bierze za *couleur locale* jest po prostu szorstkiem, jak n. p. porównanie: »bogaty jak syn czorta« (II, 146) i inne.

Poprzednio już zaznaczyliśmy muzykalność poezji K. Ujejskiego. Nigdzie ta cecha i siła nie wystąpiła w takiej sile i pełni, jak w tłumaczeniach Chopina. Są to »tłumaczenia« jedyne w swoim rodzaju i żadna podobno z literatury nowoczesnych takimi utworami poszczycić się nie może. Jeżeli wolno krytykowi domyślać się, powiedziałbym, że »tłumaczenia« te były łabędzim śpiewem jego duszy. K. Ujejski poraz pono ostatni podniósł się tutaj na wyżynę swego dawnego artystycznego natchnienia i zajaśniał równym blaskiem lirycznego patosu jak w »Skargach Jeremiego« i »Melodyach biblijnych«, zaś melodyjność i rytmiczność wiersza doprowadził do przedziwnej muzykalności. Jego »Marsz pogrzebowy« (dzieło 35) jest niesłychanej piękności poematem, zawierającym całą skalę muzyczną, od spływaniania tonów:

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?

Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?

albo:

Na atlasie piękna, cicha
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha —

energii (*con espressione*):

Za coś ty mnie tak ukarał? Ty, co zwiesz się Bogiem!

pianissimo:

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie . . .

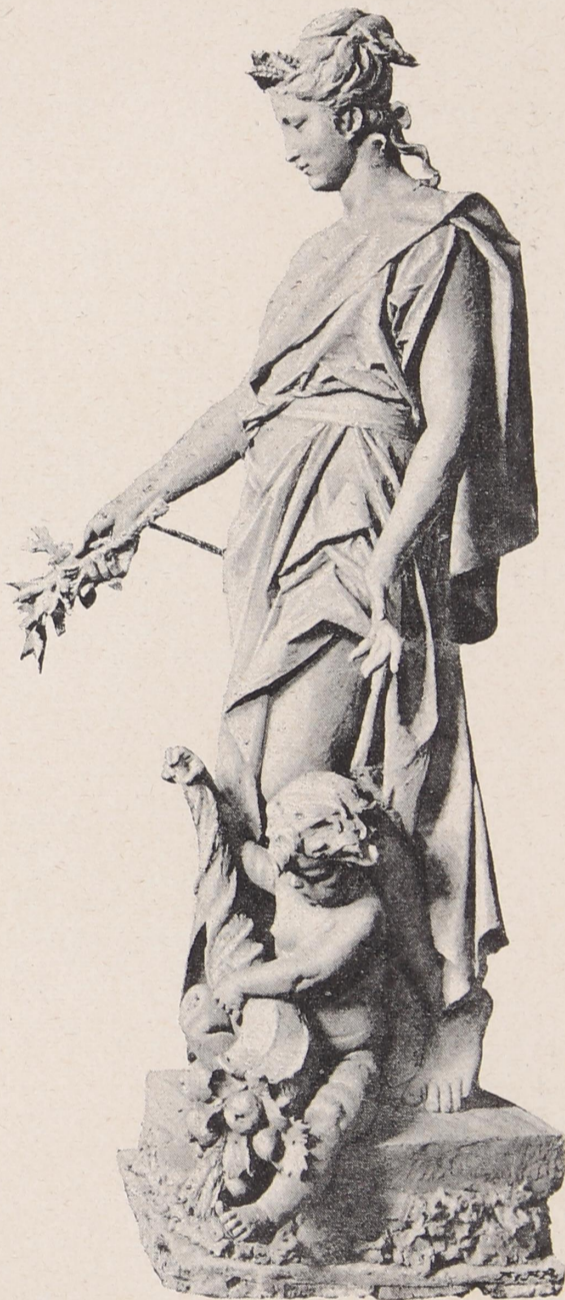
do *finale*:

Ha! zły on!
Ha! zły on!

»Wniebowzięcie« (dzieło 28, prelud 7) i »Po śmierci« (prelud 13) są rozkołysaniem wyobraźni, pełnym łagodności, spokoju, smutku, tęsknoty do innych, nieznanych światów, które odkrywają głębię rozmarzonego ludzkiego ducha. Ażeby tak »tłumaczyć« Chopina trzeba mieć chwile wielkiego zachwyty, szczęśliwości, zapomnienia, miłości, upojenia, niewinności — powiedziałbym — dziecięcej.

Twórczość poetycka K. Ujejskiego trzymała się dróg i miedz ojczystych. Na jego »harfie« były napięte tylko trzy struny: Bóg, kraj i miłość. Brako-

CYPRYAN GODEBSKI.



POKÓJ.

wało zupełnie prawie ludzkości, jakby jej potrzeby, bole, nadzieje nieznanne były poecie, a on sam nigdy nie czuł się częścią wielkiej wspólnej ojczyzny. Raz wyśpiewał jej zwycięstwo pod Maratonem i to tylko dlatego, że Grecy bronili wolności, że znalazł tam wspólność uczuć i myśli. Obok świetnego zawsze lirycznego patosu, którego wzorem pozostaną »Skargi Jeremiego« — a w nich precudny »Chorał«, — »Melodye biblijne« i inne, zdarza się niekiedy blada a nawet pobawiona prawdy obserwacja psychologiczna! W poemacie »Po latach ośmnastu« Ujejski pokazuje nam postać żołnierza-Moskala, który »mil tysiąc niósł cudze pieniądze, głodny, a zwalczał kuszące go żądze«. Nie da się zaprzeczyć, że już skutkiem tego, żołnierz ów złożył dowody rzadkiej szlachetności i prawości charakteru; Ujejski natomiast każe mu wejść do pokoju »jak zwierzę«, a wyszlachetnieć dopiero »w polskim objęciu« (I 73). W obrazku tym razi po prostu nielogiczność psychologiczna.

Pragnąc dać pojęcie o ogólnym charakterze poezji i talentu K. Ujejskiego, porównałbym go do rzeźbiarza, który tylko kamee rzeźbi, albo do malarza w rodzaju Meissoniera. Ujejski nie stworzył wielkiej, jednolitej artystycznej całości; przyczynę tego staraliśmy się wyjaśnić: brakło mu nie energii i sił, lecz dłuższego napełnienia ducha; tworzył natomiast drobne poematy, dramaty w kilkunastu wierszach zamknięte, poetyczne obrazki, samoistne, skończone, piękne, arcydzieła; wlewał w nie tyle życia, prawdy, liryzmu — ile było w jego własnej duszy — i dlatego swoim miniaturom nadawał cechę genialności prawie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pomiędzy »Skargami Jeremiego« a »Tłómaczeniami Chopina«, dwoma biegunami — można powiedzieć — jego poetyckiego natchnienia i twórczości, była chwila wielkiego spokoju, jak cisza morską, wśród której poeta patrzył w przyszłość swoją, uśmiechając się do niego pogodą i szczęściem. Były to lata 1849 i 1850. Łódź jego przybiła »Do brzegu«, na którym czekała go ukochana kobieta.

Tobie ja śpiewam, gołębico moja,
Coś mi oliwną gałązkę przyniosła!
Już srebrnym światłem znęca mnie ostoja
(II. 131).

Z towarzystwa jej unosiły go tylko »duchy, co gromadą, pełne chwały, pełne błysków, gdzieś na złotych chmurach jadą« (II, 133). Koroną tych chwil pogody i szczęścia jest »Ojcowski psalm« (II, 135), napisany po urodzeniu się syna Kordyana, — wiersz pełen biblijnego spokoju, pogody, poezji i głębi lirycznej. Liryzm K. Ujejskiego rzadko bywa łagodny, zawsze zaś pełen grozy, surowości i gwałtownych wybuchów, — w tym wierszu niepospolitej piękności, poeta jakby się umyślnie dostroił do uroczystości chwili.

Ozłocił Pan wspaniale moje ściany liche,
Bo zesłał mi dzieciątko z nieba, światło ciche.
Jedno dziecię! — a weszło z niem takie wesele —
.
I zaraz w niej przybrało wszystko pozór święty,
Radosnem przemówiły słowem nieme sprzęty,
Wszystkie skazy ponikły, kąty wyjaśniały,
I cedrami zapachły dębowe powały;
Kaźde usta dobroci pełne, ściany bielsze
A piosenki czeladzi co wieczór weselsze.

FR. RAWITA.

K R O N I K A.

* Komitet zajmujący się sprowadzeniem zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza, odbył posiedzenie w d. 19 kwietnia, na którym uchwalono: uroczystość złożenia zwłok poety na Skałce odroczyć do połowy czerwca. Adam Asnyk, uproszony przez zgromadzonych, uda się do Florencji, aby w imieniu komitetu odebrać trumnę ze szczątkami lirnika mazowieckiego. Sprawą grobu i sarkofagu, wraz z jego ornamentacją i medalionem zajmuje się z wielką starannością K. Knauss, architekt i radca miejski. Inny medalion — do umieszczenia w przedsiönku krypty i w Muzeum Narodowym — wykonać ma zaszczytnie znany artysta-rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki. Na wniosek dyr. Wł. Łuszczkiewicza uchwalono w dzień pogrzebu urządzić wystawę prac rzeźbiarskich Lenartowicza; na domu, w którym mieszkał w 1848 r. autor »Lirenki« w Krakowie, umieszczoną będzie tablica pamiątkowa. Włościański chór z Bierzanowa weźmie udział w uroczystości. Juliusz Kossak, w imieniu krakowskiego Koła artystyczno-literackiego, jako jego prezes, oświadczył, że klub wymieniony urządzi wieczorek, z którego dochód przeznaczy na koszt pogrzebu. O ile wiemy, wydatki pomimo całej możliwej oszczędności będą znaczne, a jak dotąd składki wpływają nader skromnie. Zachęcamy zatem czytelników naszych jak najgoręcej do nadsyłania wdowiego grosza, kwota bowiem uzbierana świadczyć będzie o czci naszej dla poety. Tow. młodzieży »Praca« zamierza także urządzić wieczornicę, z której dochód na tenże sam cel złoży w ofierze. Uczniowie szkoły rolniczej w Czernichowie wezmą udział w żałobnej uroczystości. W końcu posiedzenia wybrano komisję, mającą wydaniem popularnej bro-

szury o Teofilu Lenartowiczu. W skład tej komisji weszli: Michał Bałucki, Juliusz Kossak i Zygmunt Sarnecki.

* Na stronie 196 dajemy reprodukcję szkicu mistrza Matejki na witraż do katedry obrządku łacińskiego we Lwowie. Witraż ten wykonany będzie kosztem Jerzego hrabiego Dunin-Borkowskiego.

* Brak miejsca zmusza nas odłożyć dokończenie pięknego studium Zenona Przesmyckiego o Jarosławie Vrchlickim, do przyszłego zeszytu *Świata*.

* Franciszek Krudowski, znany zaszczytnie artysta-malarz, gości znowu w Krakowie, a może nawet na czas dłuższy w mieście naszym się osiedli.

* Czasopisma ilustrowane niemieckie i angielskie pomieszczają obecnie coraz częściej reprodukcje z obrazów, oraz rysunków Ludwika Stasiaka. Cztery jego kompozycje wysłane na wystawę do Chicago, odtworzone będą w pomnikowym wydawnictwie francuskim, poświęconem wystawie kolumbijskiej.

* Wiedeńska *Allgemeine Kunst-Chronik*, którą podobno subwencyonuje jedna z polskich instytucyj artystycznych, bardzo mało w łamach swych poświęca miejsca obrazom i artystom polskim, reprezentowanym na wystawie w *Künstlerhausie*. Dzieła, które najsurowsi krytycy w stolicy austriackiej gorąco i pochlebnie ocenili, spotykają się w sprawozdaniach wymienionego czasopisma z szyderstwem i niezupełnie dowcipnymi żartami. — Sprawozdawca *Fremdenblattu* wypowiada nader pochlebny sąd o obrazach Piotra Stachewicza, nazywając je najlepszym dziełem religijnym, jakie wystawa w *Künstlerhausie* posiada. Po dłuższym, wielce zaszczytnym dla

sztuki polskiej ustępie, omawia recenzent szczegółowo utwory naszego krakowskiego artysty w sposób następujący: »Stachewicz ilustruje polskie legendy o Matce Boskiej na sposób narodowy. Narodowym jest nawet typ Maryi. Postać jej wdzięczna ma jakiś pierwiastek melancholiczny, jakąś naiwną gorącą pobożność, która jest i katolicką i słowiańską zarazem. Weźmy dantejską idyllę o Maryi, prowadzącej dusze po drodze ciernistej do czyśca: wszak to idealny typ polskiej młodej chłopki, idącej na odpust do Częstochowy. A im bardziej po chłopsku pojęta, tem urok większy. Najpiękniejszym jest obraz, na którym Marya staje się całkiem kobietą z ludu. Rozwiesza ona w ogródku świeżo upraną bieliznę, koło Niej siedzi na ziemi nagie Dzieciątko. Obie postacie widzimy tylko z tyłu, nie znamy legendy o »sobotnim promyku słońca«, ale odczuwamy idylliczną treść tej sceny i jej świętość. W ogóle zdaje się Stachewicz być rodzajem Grottgera, sielankowego, czerpiącego natchnienie u źródła nie tragicznego, lecz z marzycielskich wrażeń duszy. Szczególnie uczuciową jest scena wniebowzięcia. Marya wyciąga ramiona w górę, aby schwycić dwie duchowe ręce, które się z nieba ku Niej wychylają. Lilie ziemskie rosną za nią aż ku niebu. Naiwna mechanika tego pojęcia czyni je iście w ludowy sposób zrozumiałem. Na innych obrazach panuje niepodzielnie baśń czarodziejska, tak n. p. w subtelnej fantazji o Matce Boskiej na drodze mlecznej, gdzie Marya wśród wiru małych i wielkich gwiazd, unosi się, jakby w zamieci śnieżnej, czuć gwiazdzistą noc stepową, ale i polską zimę także. Malarz południowy byłby tę scenę pojął zupełnie inaczej. Zasługa malownicza tych —

treścią swoją pociągających obrazków — jest bardzo wielka. P. Stachiewicz jest wytwornym i sumiennym rysownikiem, który stosownie do natury przedmiotu staje się więcej realistą, albo więcej stylistą. Mistrzowsko umie obchodzić się ze światłem i cieniem; w obrazie »Noc Święta« wywołuje efekta światłocienia, w których nie łatwo kto go prześcignie. Także i sposób malowania szaro na szarem stara się pojąć jak najbardziej malowniczo, nie tylko z największym wirtuozowstwem, przechodząc całą gamę dzielącą biały kolor od czarnego, lecz nadając nagościom delikatną barwę cielistą, a nawet niekiedy przyskając na różę żywą kropelką krwi. Niewątpliwie malarz ten należy do najszlachetniejszych zjawisk tegorocznej wystawy wiedeńskiej». — Recenzent *Extrablattu* pisze: »Szereg *grisailles* P. Stachiewicza, w moim przekonaniu, przedstawia się jako — z dzieł religijnych — najlepsze. Przejmuje ono głęboko, porusza umysł, budzi mnóstwo nowych myśli. Malarz »Cyklu Maryi« jest genialnym. Znany wyborne wizerunki Madonny np. Froeschla, Defreggera, chwaliliśmy je należyście. Ale po długim, długim czasie, stoimy po raz pierwszy z prawdziwym, wewnętrznym przejęciem przed temi Madonnami. Nie ma tu nic z afektacji racjonalistycznej, — kierunku, z jakim Uhde legendy biblijne traktuje; dalekim też jest Stachiewicz — trzeba sobie zapamiętać to nazwisko — od profanacyjnego obrazowania Nowego testamentu. Ale równie dalekim jest od faryzeuszowstwa, które przebija z obrazów francuskich i niemieckich. To, co Stachiewicz nam daje, płynie z głębi naiwnego, indywidualnego poczucia, które dla swoich ukształtowań znalazło oryginalne formy artystycznej interpretacji». — Jeden ze znanych zaszczytnie krytyków wiedeńskich, prof. Jülg, pisze w swem sprawozdaniu z wystawy w *Künstlerhausie* o obrazie T. Rybkowskiego: »obfituje on w przewyborne grupy małych postaci, pochwycone w pełnym życiu i ruchu. Jest to nadto dzieło bardzo starannie malowane«. — Recenzent *Fremdenblattu* Hevesi bardzo pochlebnie ocenia »Targ w Wieliczce« Antoniego Kozakiewicza i »Scenę targową w Skalacie« Tadeusza Rybkowskiego. — Czytamy w *Deutsche Zeitung*: »Pełnemi myślami i delikatności wykonania są legendy Stachiewicza o Matce Boskiej. Radzibyśmy je poznać, ich poetyczne tchnienie, ich pobożność wieje na nas z obrazów«. W tem samym sprawozdaniu znajdujemy dalej: »Kowalski przedstawia nam solo wilka, z zielonawymi oczami, który podczas nocy zimowej wietrzy ofiarę; mógłby ten obraz stanowić pendant do »Króla puszcz« Freiligratha«. — Profesor Jülg przechodzi w *Presse* salę po sali. Pisze on: »Klejnotem wystawy jest noc zimowa z głodnym wilkiem, w śniegu, ponad wsią — Kowalskiego. Jest to obraz przedziwnie wykonany, a osiąga w nim malarz naturalistyczny efekt, za którym ubiegają się impresyoniści-plenerzyści, tylko, że Kowalski zdobywa go bez kuglarskich sztuczek, bez ustępstw i kompromisów co do odległości. Czy zbliżona, czy z metrowej odległości się patrzymy, to śnieg pozostaje śniegiem w całej swojej prawdzie; wspaniały jest charakter zwierza, piękną odległość i głębokość z domami, słowem czujemy w obec tego obrazu, że artysta wiele może i dużo umie«.

* Korespondent nasz paryski donosił, że Czesław Jankowski przybył ma w tych dniach na dni kilka do Krakowa. Znakomity artysta istotnie wybierał się do kraju, gdy nagle przyszło osłabienie, spowodowane nadmierną pracą — i lekarze sympatycznemu twórcy przelicznych kartonów »Zmartwychwstanie« (które w d. 1 kwietnia daliśmy przy *Świecie* jako premium), polecili wyjechać nad morze, do Roscoff, na wypoczynek sześć lub siedmiogodniowy. Słynny rysownik i ilustrator,

przed wyjazdem, wysłał ośm swoich najnowszych kartonów, które w tych dniach ukażą się na wystawie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Sukiennicach. Mówić o nich będziemy w następnym numerze *Świata*.

* Leopold Horowitz, który niedawno ukończył portret hrabiny Alfredowej Potockiej, maluje teraz w Wiedniu wizerunek słynnej śpiewaczki Renard, a otrzymał zamówienie na portret Tiszy, który wykończy w pracowni swojej w stolicy węgierskiej. Znakomity i sympatyczny artysta posiada obecnie trzy *ateliers*: w Berlinie, Budapeszcie i Wiedniu.

* Cykl obrazów Piotra Stachiewicza, który tak pochlebnie oceniła krytyka wiedeńska, należy na własność Mikołaj hr. Rey.

* Wydział »Towarzystwa upiększania miasta Lwowa«, na wniosek prof. Leonarda Marconiego postanowił przyozdabiać główne place i miejsca przechadzek w stolicy Galicyi popiersiami ludzi zasłużonych w życiu publicznym, oraz pisarzy i artystów. Będą to biusty jednakowego typu, wyrzeźbione z trwałego piaskowca i ustawione na piedestałach z kamienia wapiennego, w ozdobnym otoczeniu krzewów i kwiatów. Pierwsza serya umieszczoną ma być na Wałach hetmańskich, tworzących obecnie — jak wiadomo — skwer olbrzymi i piękny. Na południowym jego krańcu staną popiersia: ks. Samuela Głowińskiego, infułata lwowskiego, zmarłego w 1776 roku, założyciela wyższego zakładu naukowego, Stanisława hr. Skarbka, Leona księcia Sapiehy, Jana Dobrzańskiego; na północnym: Jana Nepomucena Kamińskiego, Artura Grottera, Wincentego Pola i Stanisława Moniuszki. Już w roku bieżącym wzniesione być mają biusty: Głowińskiego i Skarbka.

* Piotr Stachiewicz wykonał olejny szkic afisza przyszłej lwowskiej wystawy. Podzielony on jest na dwie części. Górna przedstawia obraz, w formie kulistej, ujęty w obręcz z napisem: *Powszechna wystawa krajowa we Lwowie 1894*. Dolna mieścić będzie szczegółowe informacje. Obraz przedstawia malowniczą grupę, złożoną z dwóch postaci: dzielnego Krakowiaka i pięknej Rusinki. Pierwszą trzyma w ręku pochodnię oświaty, druga wieniec dębowy. Na tarczy, trzymanej przez lwa, herby Lwowa i Krakowa. U stóp grupy umieścił utalentowany artysta z jednej strony godła rolnictwa i rękodzielnictwa, z drugiej emblematy sztuk pięknych i przemysłu. Całość bardzo ładna i artystyczna, stanie się niezawodnie potężną reklamą dla wystawy.

* Ciągłe pomyślnie rozwijający się »Związek literacki«, poruszył myśl urzędowania w nowym teatrze krakowskim szeregu odczytów o literaturze dramatycznej polskiej (dawnej i najnowszej), połączonych z przedstawieniami omawianych dzieł scenicznych, na wzór słynnych konferencyj paryskich, w których występują jako prelegenci najznakomitsi krytycy francuscy. W skład zorganizowanej w tym celu komisji, weszli: Karol Estreicher, Konstanty M. Górski, Władysław Leopold Jaworski, Tadeusz Pawlikowski, Ignacy Rosner, Zygmunt Sarnecki, Maryan Sokołowski, Józef Tretiak i Stanisław Windakiewicz. Komisya ta odbyła już jedno posiedzenie pod przewodnictwem prezesa »Związku« prof. Dra Józefa Tretiaka. Uchwalono na niem, że właściwa akcja rozpocznie się dopiero po wybraniu i zatwierdzeniu, jako przyszłego dyrektora sceny narodowej przez Radę miejską i Wydział krajowy, jednego z pośród kandydatów ubiegających się o kierownictwo w nowym teatrze. W ogólnym zarysie jednak oznaczono już obecnie dążność i program odczytów. Celem ich ma być literacko-krytyczne omówienie — a zarazem sceniczne uwypuklenie omówienia, przez właściwą grę artystów i stosowną ekspozycję — różnych najwybitniejszych utworów, charakteryzujących właściwie każdą

epokę historii teatru polskiego. Odczyty takie nie tylko, że przyczynią się wielce do podniesienia uroku i znaczenia sceny krakowskiej, ale zarazem przysporzą literaturze naszej ciekawych i gruntownych studyów z dziedziny bardzo mało znanej, dotąd bardzo płytko sądzonej i krytycznie niemal wcale nieopracowanej. Dodać tu należy, że nawet materialny cel owych konferencyj, ilustrowanych widowiskami, obudzić musi dla nich jak najszerze sympaty, czysty zysk bowiem jaki przyniosą, użyty będzie na wytworzenie funduszu emerytalnego dla artystów teatru krakowskiego.

* Józef Bliziński, po operacji dokonanej przez prof. Dra Obalińskiego, pod czułą i niezmiernie staranną opieką swojej zacnej małżonki, oraz rektora Korczyńskiego i Dra M. Śliwińskiego, powraca powoli do zdrowia. Rekonwalescencya znakomitego komedyopisarza przeciągnąć się jednak może kilka miesięcy.

* Stanisław Graybner, autor komedyi »Fredzio« — przedstawionej na benefis p. B. Wolskiej, wielce zasłużonej artystki teatru krakowskiego — złożył swoim nowym utworem niezaprzeczony dowód talentu, którego głównym przymiotem jest: sceniczność. W budowie sztuki, w pojęciu charakterów, w ich psychologii i wzajemnym do siebie stosunku — nie dość ściśle i logicznie określonym — dużo usterek wytknąć by się dało, nikt jednak nie zaprzeczy, że komedia posiada sceny pojedyncze niezmiernie efektowne, a nawet bardzo ładne i że sceny te są na wskroś teatralne, podbijające publiczność. Słowem — o ile nam się zdaje — p. Graybner posiada temperamet pisarza dramatycznego, który musi jego utworom zapewnić długie lub trwałe powodzenie na scenach polskich. Do sukcesu »Fredzia« przyczyniła się także sumienna gra naszych artystów. Niektórzy z nich, nawet w niewłaściwych dla siebie rolach, złożyli dowody rzetelnej, zaszczyt im przynoszącej, staranności. P. Ruszkowski w pierwszym akcie nieco za suchy i za młody, w ostatnim natrafił na właściwą i odpowiednią charakterowi postaci intonację głosu, ciepło i brawurę gry w pięknej finałowej scenie. Pani Wojnowska z matulkiej roli stworzyła przepyszną, pełną prawdy kreację, wykończoną po flamandzku. P. Siemaszko z wielką miarą i zwykłym sobie talentem odwzorował typ zubożonego małopolskiego lichwiarza. P. Solski grał z werwą i humorem. P. Trapszówna, wzbogaciła swój repertuar, jedną więcej rolą naiwnej dziewczeczki, odtworzonej szczerze, ładnie i z wielkim zasobem środków, pełnych dobrego smaku i wytwornego kunsztu. Autora przywoływała publiczność po każdym akcie, suto wynagradzając go oklaskami, za odniesione wrażenia. — Wybitne cechy talentu Stanisława Graybnera, silniejszym jeszcze niż w »Fredziu« piętnem uwidoczniły się w sztuce »Hrabia Jerzy«, przedstawionej na benefis pani Wandy Siemaszkowej. Autor znalazł tu materialnie istotnie dramatyczny — jeśli nie nowy zupełnie — to przynajmniej mocno odnowiony sposobem oryginalnego opracowania, — powiedzielibyśmy nawet — posiadający: (scena ostatnia aktu I) pewien odcień najświeższego modernizmu teatralnego. Wyrzekłszy się tendencyjności i wszelkich pozorów tezy, stworzył on akcję żywą, charaktery wcale wypukłe, tyrały podniosłe i szlachetne, sytuacje efektowne, słowem dzieło od pierwszej do ostatniej sceny interesujące, które w starannem przedstawieniu musi zdobyć sukces w każdym teatrze. U nas, z pośród interpretatorów i interpretatorek »Hrabiego Jerzego« na pochlebne wyróżnienie zasługiwały panie: Sienicka i Kałużyńska, oraz panowie: Ruszkowski, Siemaszko, Solski i Sobiesław. — Trzy występy Wincentego Rapackiego trzykrotnie szczerze zapełniły widownię naszego teatru. Znakomity artysta grał Vauclina w »Safandulach« Wiktoryna Sardou, Harpagona w »Skąpcu« Moliera

i dziadka w »Fredziu« S. Graybnera. Dwie pierwsze kreacje, znane oddawna publiczności krakowskiej, należą do najdoskonalszych w jego bogatym repertuarze. Trzecia zaś była wymownym świadectwem niewyczerpującej się siły talentu Rapackiego, który stworzył tu postać na wskróś nową, oryginalną, pełną prawdy, a zarazem wielce sympatyczną.

* Plany konkursowe teatru krakowskiego zebrane i ogłoszone zostały w 257 zeszytach wydawnictwa berlińskiego: *Sammelmappe hervorragender Konkurrenz-Entwürfe*. Zeszyt ten nosi tytuł »Stadttheater für Krakau« i zawiera na 26 tablicach, formatu dużego *in quarto* wszystkie nagrodzone projekta, znane czytelnikom naszym z artykułu i ilustracji, jakie w *Świecie* pomieściliśmy w swoim czasie, po rozstrzygnięciu obu konkursów. Równocześnie niemal, w »Ricordo della prima esposizione d'architettura«, wydawnictwie upamiętniającem pierwszą — przed dwoma laty otwartą — wystawę architektoniczną w Turynie, ukazał się widok perspektywiczny teatru krakowskiego, według projektu z drugiego konkursu, architektury Odrzywolskiego. Jest to jedyny rysunek artysty polskiego, jaki daje ta publikacja.

* Donosiliśmy już, jak zaszczytnie odznaczone zostały na konkursie Towarzystwa muzycznego *Carillon* w Brukseli kompozycje Adama Münchheimera. Dziś dowiadujemy się, że kompozytor nasz otrzymał nadto: batutę i dyplom honorowy. Prócz tego portret jego będzie umieszczony na naczelnem miejscu w wydać się mającej grupie zbiorowej laureatów, a nadto Towarzystwo *Carillon* własnym kosztem ogłosi odznaczone kompozycje i starać się będzie, aby wykonywały je belgijskie orkiestry wojskowe i cywilne. W ten sposób dyrektor Münchheimer przyczyni się do rozpowszechnienia naszych melodyj w dalekiej obczyźnie. Miło nam również zaznaczyć, że w sekcji kompozycji fortepianowych drugą nagrodę (medal) zdobył p. S. Biliński z Warszawy, brat zmarłej niedawno znakomitej portrecistki.

* W teatrze narodowym w Dreźnie ma być przedstawiony dramat Pawła Lindau'a, p. t. »Zwei Seelen«, którego tematami są: choroba woli, suggestya, somnambulizm i t. p., jak w drukujących się obecnie w *Świecie* »Uroczych oczach«, napisanych rok temu. Autor polski — o ile nam się zdaje — pierwszy w literaturze europejskiej użył treści z tej dziedziny za kanwę do utworu scenicznego.

* Były minister skarbu w Bułgarii, Naczewicz, pisze obecnie podręcznik historii polskiej.

* Ślub Henryka Sienkiewicza z panną Z. Wołodkowiczówną, z powodu formalności prawnych, (załatwienie których wymagało nieco dłuższego czasu), odbędzie się — jak to już raz donosiliśmy — w mieście naszym, w ciągu bieżącego miesiąca.

* Odczyt Alfreda Szczepańskiego p. t. »Die Walzer-Dynastie«, o którym wspominaliśmy w poprzednim zeszytach *Świata*, zgromadził w wiedeńskim klubie naukowym nader liczną publiczność. W pośród grona słuchaczy znajdował się także arcyksiążę Karol Ludwik, który po odczycie długo z prelegentem rozmawiał, podnosząc zalety jego konferencji.

* Kierownik naczelny laboratorium higienicznego w Warszawie, Dr Otto Bujwid, zamianowany został nadzwyczajnym profesorem higieny na uniwersytecie krakowskim.

* Architekt Pryliński wykona na zamówienie osób prywatnych cały szereg pawilonów, przyozdobionych mających plac wystawy lwowskiej. — Pałac sztuki na tejże ekspozycji wybuduje spółka pp. Stanisława Chołoniewskiego i Władysława Godowskiego. Gmach stanie

cały z muru i będzie w przyszłości stałą ozdobą parku stryjskiego.

* W Berlinie wychodzić zaczął w polskim języku *Tygodnik Berliński*.

* Niezmiernie starannie redagowana warszawska *Gazeta Sądowa* kończy dwadzieścia lat swego istnienia. Z powodu tego jubileuszu redakcja wydała zeszyt wielce bogaty i cenny, w którym także pomieścili prace swoje znakomici prawnicy tutejsi, oraz profesorowie uniwersytetów galicyjskich. Nadto kierownictwo zasłużonego i słuszenie cenionego czasopisma uczciło pamięcią dla siebie rocznicę: ogłoszeniem konkursu na samodzielną pracę z dziedziny prawa.

* Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej nakładem swoim wydała: »Anioł Euchorysty czyli żywot Maryi Eustellis«, przez ks. Klau-dyusza Maryę Mayet, w tłumaczeniu M. K., oraz »Rozmyślenia o męce Chrystusa Pana«, ułożone podług nauk ks. Waleryana Kalinki. Zewnętrzna strona obu wydawnictw ładna i staranna.

* Otrzymujemy następującą odezwę komitetu polskiego w sprawie kościoła w Wiedniu: »Po ustąpieniu dyrektora kościoła św. Ruperta, X. Dra Krechowickiego, którego imię na zawsze pozostanie w pamięci kolonii polskiej w Wiedniu, oraz po usunięciu X. Polickiego, prowizorycznie mianowanego kaznodzieją i spowiednikiem, przez konsystorz wiedeński, i po odstąpieniu doktorandów polskich zakładu Augustyneum od sprawowania obowiązków kościelnych dla Polaków, miejsce kaznodziei pozostało nieobsadzone, a kolonia polska pozbawiona pociech duchownych. Bractwo polskie czując krzywdę kolonii polskiej tym faktem wyrządzoną, również mając na względzie, iż dłuższa zwłoka w obsadzeniu wyżej rzeczonyj posady może spowodować utratę naszego dość cennego remanentu kościelnego i praw do kościoła św. Ruperta przez obecnego monarchę i jego poprzedników Polakom nadanych, postanowiło zwołać wiec, który odbył się dnia 18 marca b. r. w sali Towarzystwa przemysłowego w Wiedniu przy Eschenbachgasse 11. Wiec obradował i jednogłośnie uchwałą przyjął następujący wniosek: I. Wybiera się komitet kościelny z 36 osób, a to 16 pań i 20 panów, z których to osób 6 pań i 10 panów musi mieć stałe miejsce zamieszkania w Wiedniu. II. Komitet ten ma dla siebie opracować stosowny regulamin i natychmiast rozpocząć czynności, przedewszystkiem w kierunku powrócenia kolonii polskiej praw i przywilejów w kościółku św. Ruperta, tudzież zabezpieczenia kościelnego remanentu, a następnie stanowcze i zupełne przeprowadzenie sprawy kościoła polskiego w Wiedniu. Z czynności swych komitet złoży sprawozdanie przed wiecem w jesieni b. r. lub stosownie do potrzeby przedtem zwołać się mającym. III. Poleca komitetowi, iżby się odpowiednio do regulaminu ukonstytuował, tudzież gdy tego potrzeba, przybrał innych członków do komitetu bez względu na miejsce ich zamieszkania. Następnie uchwalono wybrać komitet, do którego mają być zaproszone następujące osoby: Z poza Wiednia: Panie: hr. Potocka z Rymanowa, Chamcowa ze Lwowa, Marchwicka ze Lwowa, Mochnačka ze Lwowa, Weiglowa z Krakowa. Panowie: hr. August Łoś, Karol Lewakowski, Włodzimierz Gniewosz, Witold Lewicki, Dawid Abrahamowicz, Potoczek, Franciszek Zima, Kozłowski, Straszewski, Chrzanowski. Z Wiednia: Panie: ministrowa Zalewska, Baurowska, Brunnerowa, Blochowa, Mirowa. Panowie: Dr Gnatowski, Dr Jaroszyński, Garczyński, Baraniecki, książę J. Czartoryski, Gil, Dobrowolski, Rybkowski, Kotykiewicz, Nowiński, Mikulski, Bazylewski, Bystrzanowski, Kostka, Hajdukiewicz, Or-

łowski. Uważamy za konieczne i nie ulegające zwłoce, ażeby wszyscy Polacy jednomyślnie i wszystkimi siłami pomogli komitetowi do odzyskania praw, których bez przyczyny i sprzecznie z zamiarami panującego monarchy i jego poprzedników zostaliśmy pozbawieni. W imieniu wiecu, tymczasowy komitet polskiego kościoła w Wiedniu: Dr Feliks Gnatowski, prezes; Orłowski, sekretarz; Baraniecki, skarbnik. Członkowie: Bazylewski, Garczyński, Dr Jaroszyński, Kotykiewicz. Listy upraszamy adresować do prezesa: Wien II. Praterstrasse 50«.

BIBLIOGRAFIA.

»Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego«, admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza. 1592—1656. Przez Aleksandra Kraushara. — Tomów dwa. Petersburg. Br. Rymowicz. 1893.

Utalentowany autor tego dzieła nie szczędził trudów i zabiegów, badań i podróży, aby dotrzeć do źródeł dotąd mało albo zupełnie nieznanymi, na tle których rozsunął bardzo zajmujące biograficzno-historyczne opowiadanie, przedstawiające nam dyszącą życiem postać dzielnego i szlachetnego »rycerza najemnego« z XVII wieku, postać bardzo oryginalną i niezmiernie ciekawą, przepyszną nadającą się na bohatera powieści albo dramatu. W barwnie i wiernie namalowanym przez Aleksandra Kraushara portrecie — z ram wiele artystycznych — występuje Krzysztof Arciszewski, jako condotier wprawdzie, ale zarazem jako człowiek niepospolity, wykształcony i sympatyczny. Admirał holenderski w awanturnych przygodach swoich, goniąc za fortuną, nie zatracił jednak charakteru Polaka i dodatnich znamion narodowości naszej; kochał ojczyznę i tęsknił za nią szczerze. Duża książka dwutomowa czyta się z prawdziwą przyjemnością i nieprzerwanym zajęciem. Powróćmy do niej jeszcze w *Świecie*, aby ją szerzej omówić i należycie ocenić, jak na to zasługuje.

Maryan Gawalewicz. — »Mechesy«. — Powieść. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Z omówieniem tej nowej powieści utalentowanego pisarza wstrzymujemy się do chwili, w której ukaże się w książce jej część druga, już obecnie drukująca się w jednym z czasopism warszawskich, — tylko bowiem o zaokrąglonej całości można wydać sąd sprawiedliwy.

NEKROLOGIA.

* W Berlinie zmarł słynny rzeźbiarz niemiecki profesor Marcin Paweł Otto, liczący zaledwie 47 lat w chwili zgonu.

* W Paryżu rozstał się z tym światem Adolf Frank, długoletni profesor filozofii i filozofii prawa w Collège de France, niepospolity pisarz, członek Instytutu. Wcale liczni uczeni i literaci polscy, którzy przed 1863 r. kończyli nauki w Paryżu, byli jego uczniami i po dziś dzień przechowują dlań w pamięci część i wdzięczność szczerą.

* W Warszawie zmarł Adam Amilkar Kosiński, głośny niegdyś powieściopisarz, a w ostatnich latach życia heraldyk. Powieści jego, pod względem artystycznym posiadały bardzo małą wartość, dzięki jednak swej treści, miłej sercom, cieszyły się w swoim czasie olbrzymią poczytnością.

* W Warszawie w połowie ubiegłego miesiąca rozstał się z tym światem Jan Quattrini, długoletni kapelmistrz Teatru Wielkiego.

* W Kielcach zmarł Wacław Holewiński, znany dziennikarz warszawski. Z prac jego obszerniejszych wyróżniła w swoim czasie krytyka pochlebnie: »Zasługi Kopernika dla cywilizacji«.